

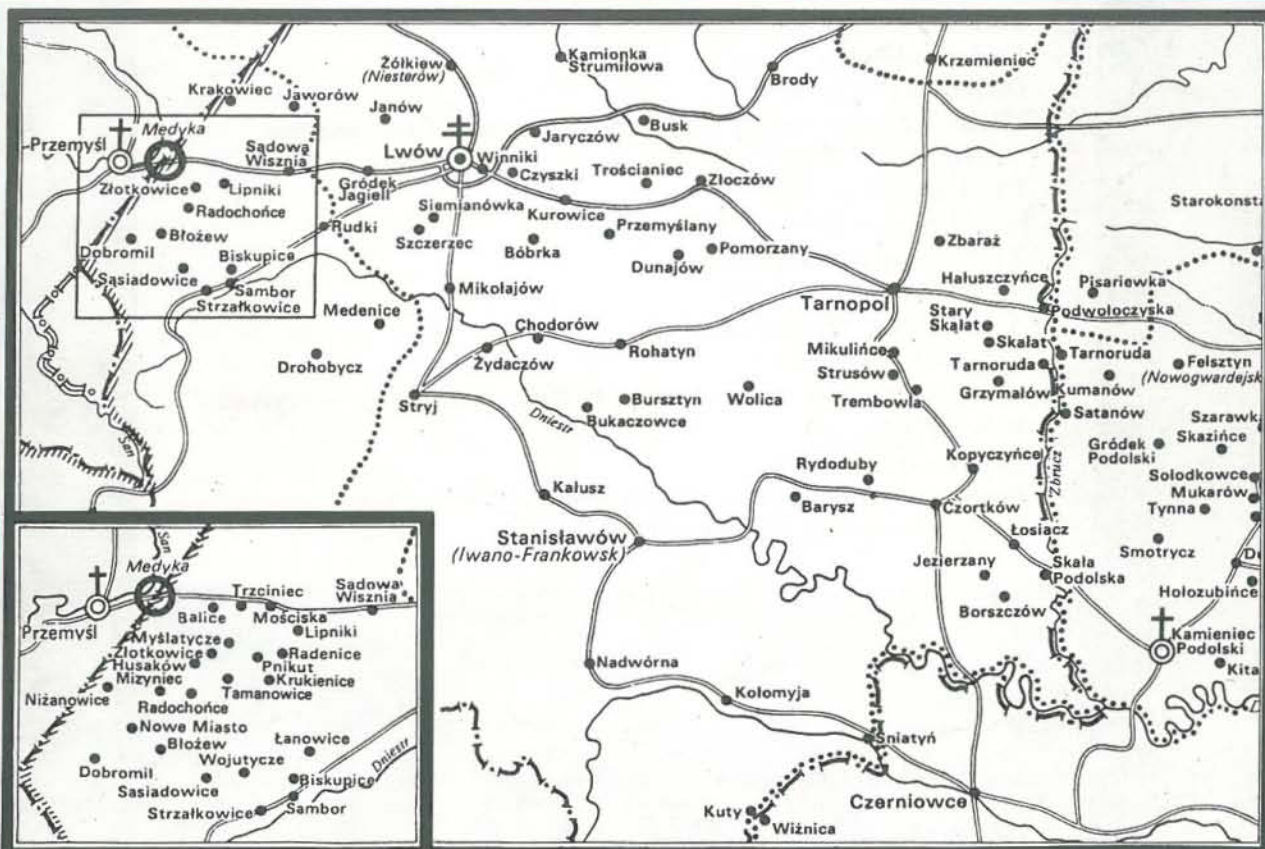


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

4 (10) 1991

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW WSCHODNICH • WROCŁAW



Opracowanie i wykonanie: K. Dulkowski i M. Gugułski

Fragment mapy „Kościoł rzymskokatolicki na Białorusi i Ukrainie”
z pracy Adama Chlebowicza *Kościoł w niewoli*

SEMPER FIDELIS

ZBYSŁAW POPLAWSKI

Represje okupantów na Politechnice Lwowskiej (1939—1945)

EUGENIUSZ DMYTRÓW

Powstanie i zagłada wsi Ostoja

LESZEK WIERZEJSKI

Krwawa karta z najnowszych dziejów Stanisławowa

MAREK ZAKRZEWSKI

Lwów — kolebką harcerstwa

ANDRZEJ CHLIPALSKI

Truskawiec i inne — o uzdrowiskach w Małopolsce

Wschodniej

EDWARD PRUS

Iwan Franko — przyjaciel czy wróg Polaków?

EMILIA KIERYCZ PREIDŁOWA

Na Lewandówce

DANUTA NESPIAK

Wieści z krainy między Dniestrem, Prutem a Czeremoszem

DANUTA NESPIAK

Przeminęli z wiatrem?

STANISŁAW RAKOWSKI

Kresowe szlaki. Czortków

ANDRZEJ KAMINSKI

A jednak są „Orlęta Lwowskie”

ANDRZEJ CHLIPALSKI

„Ziemie Południowo-Wschodnie II Rzeczypospolitej — wystawa

w Krakowie

MARIA SAWICKA

Bedzi pińdziesiunt lat a moży i wiency

Z życia oddziałów i klubów TML

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kaminski, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Stanisław Sławomir Nicieja — przewodniczący, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Jan Iwaszko — redaktor techniczny, Wiesława Jeleńska-Hombek — redaktor odpowiedzialny, Leszek Mrozek — opracowanie graficzne, Danuta Nespiak — redaktor naczelny, Zdzisław Ojrzyński, Irena Zaucha — asystent redaktora

ADRES REDAKCJI: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa — Wrocław, Rynek Ratusz 7/9 tel. 44-88-93
WYDAWCA: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Na IV stronie okładki — Kościół Bernardynów w 1942 r. (obecnie cerkiew greckokatolicka)

Obowiązek pamięci i niezbędność życzliwości

Wolni z wolnymi i równi z równymi — taki dialog mogą prowadzić tylko ci, których osobista wolność wbudowana w kulturę narodową każe uznać równość partnera reprezentującego drugą autonomiczną kulturę.

Kultura jest to dziedzina pojemna. Mieści się w niej wiele pojęć i wartości moralnych, naukowych, artystycznych, religijnych. Nie mieszczą się w niej gwałt, przemoc, unicestwienie cudzego życia i cudzego dorobku duchowo-materialnego. Kultura jest podstawowym kryterium tożsamości narodu, obojętnie czy naród ten liczy kilka czy kilkadziesiąt milionów. Dlatego zagwarantowane prawo do rozwoju własnej kultury mają (i mieć powinny tam, gdzie nie mają) mniejszości narodowe.

Kończący się rok przyniósł tragiczne konflikty zbrojne, wojny domowe oraz rozczarowania i nadzieje na rozwiązanie trudnych spraw polskiej mniejszości narodowej za naszą długą wschodnią granicą.

Ten numer „Semper Fidelis” z racji wymogów redakcyjno-wydawniczych kwartalnika składamy już w ostatnich dniach września. Nie wiemy, jak potoczą się dalej sprawy Polaków na Litwie. Nie wiemy, czy będzie można uniknąć koszmarnego czekanania na granicy w Medyce, by 1 listopada zapalić światła na bliskich grobach we Lwowie, Stanisławowie, Stryju czy Kołomyi, a na Wołyniu? Wiemy natomiast, że na polskich grobach kryjących męczeńskie ofiary UPA i innych nacjonalistycznych ugrupowań ukraińskich świąteł listopadowych nie zapalimy, bo grobów tych, z nielicznymi wyjątkami, nie ma. Ale mamy wpisany w serce obowiązek podjęcia wysiłku zebrania dokumentacji wszystkich zamordowanych i zaginionych na Kresach Wschodnich, wszystkich obywateli II Rzeczypospolitej, którzy zginęli unicestwieni przez zbrodniarzy hitlerowskich, NKWD i nacjonalistów ukraińskich. Zresztą wysiłek ten został podjęty i zrealizowany w dużej mierze, jeżeli chodzi o dokumentację zbrodni niemieckich i sowieckich. Dużo trudniejsza i bardziej skomplikowana jest sprawa działalności UPA, ale mamy nadzieję na sprawiedliwą ocenę tego ludobójstwa ludności kresowej — Polaków, Żydów, Ormian oraz Ukraińców. Miesiąc listopad, tak ważny z racji naszych rocznic niepodległościowych, choćby wspomnieć obronę Lwowa, jest miesiącem, w którym musimy sobie szczególnie przypomnieć o obowiązku uczczenia pamięci właśnie tych z Kresów Wschodnich, którzy stracili życie w wyniku nienawiści do ich narodowości, wyznania i kultury lub, co jest specjalną hańbą nacjonalizmu ukraińskiego, w wyniku bycia miłośnym dla swego sąsiada Polaka.

Jest to obowiązek żywych wobec umarłych, wolnych wobec tych, którzy pełnej wolności jeszcze nie mają.

Ale po listopadzie jest grudzień — miesiąc nadziei i radości, czas planów na Nowy Rok. Skażona grzechem pierworodnym natura ludzka z trudem dopełnia obowiązek miłości bliźniego przykazany nam przez Chrystusa, okażmy więc sobie przynajmniej autentyczną życzliwość. Niech się ona stanie niezbędną cnotą społeczną, zwłaszcza kresowiaków, po naszej i po wschodniej stronie granicy. Jest to konieczność polityczna w wypadku polskiej mniejszości narodowej. Litwę zamieszkują zwarte skupiska ludności polskiej. Polacy na Ukrainie, zwłaszcza na terenach byłej Małopolski Wschodniej, są rozproszeni. To rozproszenie, a ściślej depolonizacja tych ziem nastąpiła w wyniku nie tyle deportacji do ZSRR, ile w wyniku mordów UPA i ucieczki polskiej ludności ze wsi i miasteczek przed nacjonalizmem ukraińskim. Tak zwana „repatriacja” dopełniła resztę. Są to istotne powody depolonizacji Wołynia i Małopolski Wschodniej. Gdyby UPA rzeczywiście walczyła tylko z Niemcami i partyzantami radzieckimi, a nie z Polakami, Kresy Wschodnie, zwłaszcza na obszarach wiejskich, miałyby analogicznie jak na Litwie zwarte skupiska polskie, przede wszystkim w woj. lwowskim i tarnopolskim.

Życzliwość jest konieczna, by zjednoczyć wspólne wysiłki, by utworzyć sprawnie działające stowarzyszenia kulturalne Polaków na Wschodzie. Do nich więc przede wszystkim kierujemy nasze z głębi serca płynące życzenia. W Wilie, gdy będziecie dzielić się opłatkiem, ogarnijcie miłością i życzliwością waszą wspólnotę — Polaków żyjących na Litwie, Białorusi, Ukrainie, a także Polaków żyjących na bezkresach Sybiru, Kazachstanu, Rosji. Jesteśmy dziećmi jednej Ojczyzny i jednej łacińskiej kultury, która niegdyś tak gościnnie otwierała się przed prześladowanymi innowiercami z Europy. Prowadźcie dialog z władzami państw, w których żyjecie, według zasady „wolni z wolnymi, równi z równymi”. Nie bójcie się tego. Ci, którzy czują się wolni i równi, rozumieją wasze potrzeby i wyciągną do was dłoń.

Naszemu Czytelnikom w kraju i za granicą składamy najlepsze życzenia Świąteczne i Noworoczne. Dziękujemy jeszcze raz za pomoc finansową przy powoływaniu Fundacji „Semper Fidelis” — Dosiego Roku.

Redakcja

ZBYŚLAW POPLAWSKI

Represje okupantów na Politechnice Lwowskiej (1939—1945)

Pod pojęciem represji będzie się tutaj rozumieć wszelkie kary, środki odwetu i środki ucisku wywierane przez władze okupacyjne na podbitej ludności. Jako okupantów będzie się rozumieć władze III Rzeszy niemieckiej oraz władze sowieckie, które wykonywały zajęcie, czyli okupację terytoriów Rzeczypospolitej i ustanawiały tam własne ośrodki władzy.

Wszystko to działo się z pogwałceniem prawa międzynarodowego m.in. konwencji haskiej (1907 r.), która stanowi, że okupant nie nabywa praw suwerennych na zajętych terytoriach drugiego państwa; nie może więc w sposób legalny ustanawiać własnych ośrodków władzy ani wprowadzać własnego prawa, gdyż na terytoriach okupowanych obowiązuje nadal prawo okupowanego terytorium, na którym powinno działać niezależne sądownictwo; okupant nie może też przejmować majątku państwowego, a własność prywatna pozostaje nienaruszalna; pobieranie podatków następuje na rzecz potrzeb administrowania zajętego terytorium; nie wolno powoływać organów własnej władzy, nie wolno nadawać obcego obywatelstwa ani egzekwować obowiązków wobec okupanta; nie wolno powoływać do obcej służby wojskowej; nie wolno prześladować za przekonania religijne ani naruszać praw rodzinnych lub godzić w zdrowie i życie ludności.

Te obowiązujące w cywilizowanym świecie zasady prawa międzynarodowego przytacza się, aby wykazać rozmiary dokonywanego bezprawia i okrucieństwa ze strony obu okupantów, wschodniego i zachodniego, którzy w latach 1939—1945 działali we Lwowie.

Dodatkowo należy nadmienić, że w 1968 r. została przyjęta konwencja ONZ o nieprzedawnianiu zbrodni przeciw ludzkości, która odnosić się może zarówno do wschodniego, jak i zachodniego okupanta. Trybunał Norymberski osądził działania niemieckie, tj. mordowanie ludności cywilnej, deportacje do prac przymusowych, zabijanie zakładników, grabież mienia prywatnego i publicznego; stosowanie zbiorowej odpowiedzialności, niszczenie miast i wsi, zmuszanie do przysięgi i służby wojskowej, wynaradawianie — jako przestępstwa nie podlegające przedawnieniu. Obecnie mamy świadomość, że zbrodnie okresu stalinowskiego stanowią analogiczny rodzaj zbrodni przeciw ludzkości i dają się identycznie kwalifikować.

Z chwilą otwarcia wpisów na pierwszy rok studiów — a działo się to w pierwszych dniach października 1939 r. — nie umilkły jeszcze działa,

bo bronił się Hel i walczyła grupa gen. Kleeberga pod Kockiem — „komisarz” Politechniki Lwowskiej tow. Jusimow powołał kilka zespołów jako komisje przyjęć dla poszczególnych wydziałów, do których wchodziła młodociana działająca Komсомолю, w większości Żydzi, a częściowo Ukraińcy; na czele tej akcji stał II sekretarz Komсомолю miasta Lwowa — Jan Krasicki (Janek, „Kazik”), który jako „bieżeniec” przebywał we Lwowie i mieszkał w II Domu Techników. Dla tych komisji wyniki egzaminów nie były miarodajne, gdyż decydowały kryteria walki klasowej; nic tedy dziwnego, że na I roku znalazło się niewielu Polaków.

Z początkiem października 1939 r. odbyło się zebranie wszystkich pracowników i studentów, zwołane na żądanie władz radzieckich przez rektora prof. Antoniego Wereszczyńskiego. Zebranie odbyło się w głównej klatce schodowej, której galeria pozwalała na pomieszczenie dużej liczby obecnych; tam tradycyjnie odbywały się „wiece” rzeszy studenckiej. Mówcy występowali „nad zegarem” na galerii balustradowej I piętra; tam rektor Wereszczyński otworzył zebranie, stojąc w otoczeniu przedstawicieli władz radzieckich, partyjnych i „komisarza” Politechniki tow. Jusimowa, ppłk. z zarządu politycznego Armii Czerwonej, w prezydium obok rektora stali również przedstawiciele świeżo zawiązanego komitetu partyjnego na Politechnice.

Jusimow oznajmił objęcie miasta Lwowa w posiadanie Armii Czerwonej i uruchomienie uczelni, ale na zasadach nowych, radzieckich przepisów; władza radziecka przywiązuje bowiem wielkie znaczenie do rozwoju nauki i techniki; przemówienie swe zakończył wzniesieniem okrzyku na cześć Stalina.

Bezpośrednio po nim przemówił po polsku inż. Jarosław Żaba, asystent Katedry Chemii Fizycznej i Elektrochemii (kierownik prof. T. Kuczyński), znany powszechnie jako działacz sanacyjnego „Legionu Młodych”; jego przejście do obozu radzieckiego było zaskakującą niespodzianką. Uderzył na samym początku w ton zwycięstwa i triumfu, witając niezwyciężoną Armię Czerwoną jako wybawczynię z niewoli generałów, panów i obszarników, malując szczęśliwą przyszłość tego kraju i dodając szereg ostrzeżeń pod adresem wrogów klasowych. Na zakończenie ujawnił się jako mianowany na przewodniczącego nowo powstałej organizacji związku zawodowego na uczelni, tzw. „Profspilki”.

Następnie w imieniu dotychczas tajnej organizacji komunistycznej wystąpił student IV roku

sekcji lotniczej — Bronisław Bochenek; jego przemówienie było znacznie twardsze, gdyż nie żałował pogroźek pod adresem wrogów klasowych. Dalsi mówcy opisywali przyszłe zmiany na uczelni, przyjęcie nowego i lepszego programu nauczania wedle światłych i niedoścignionych wzorów radzieckich, mówili o usuwaniu krzyży z sal wykładowych oraz o ściganiu wrogów klasowych. Przemówienia przedstawicieli władz politycznych i partyjnych były utrzymane w jednej konwencji — jakie to spotkało nas szczęście, że zostaliśmy uwolnieni od wyzysku i ucisku „panów” i jaka to czeka nas świetlana przyszłość po wyzwoleniu się spod jarzma władz „pańskiej Polski”; szkółowano też Armię Polską, a szczególnie generałów i oficerów, którzy „uciekli”, pozostawiając lud robotniczy i wiejski bez opieki.

Niespodziewanie zgłosił się do głosu prof. Stanisław Fryze, którego wystąpienie stało się prawdziwą sensacją i sukcesem. Stwierdził na wstępie, że jesteśmy przytłoczeni ogromem klęski militarnej i politycznej zadanej naszemu państwu przez wojujący hitlerizm; zdradzili nas alianci, a rząd był zmuszony opuścić kraj; w takich warunkach nie można od nas oczekiwać objawów radości. Ogół zebranych, dotychczas słuchających poprzednich wywodów w głuchym milczeniu, teraz nagroził mówcę oklaskami.

Dalej prof. Fryze wspaniale obalił zasadę walki klas, przyrównując państwo do drzewa, które posiada korzenie, pień, gałęzie, liście, kwiaty i owoce. W państwie potrzebna jest warstwa chłopska, robotnicy i inteligencja; nie mogą te elementy istnieć oddzielnie, bo ich współzycie warunkuje prawidłowo ukształtowane społeczeństwo i państwo. To rozumowanie i końcowy wniosek wywoływały ponownie duże brawa. Na zakończenie prof. Fryze wezwał, aby nie usuwać krzyży z sal wykładowych. Owacje były jeszcze gorętsze.

Pierwszą ofiarą komisarza Jusimowa był mgr praw Marian Dubaniowski, referendarz w sekretariacie rektoratu, filister Korporacji Zagończyk, jego aresztowanie było rezultatem denuncjacji B. Bochenka.

W październiku przybyła też na Politechnikę komisja do zbadania i weryfikacji poziomu uczelni i podjęcia decyzji personalnych pod przewodnictwem samego wiceministra (zastępcy komisarza) szkolnictwa wyższego ZSRR. Niestety, nazwiska nie udało mi się ustalić.

W tym czasie dotarły już do Lwowa wiadomości, w jaki sposób Niemcy zaprosili profesorów UJ na inaugurację i wysłali ich do obozu w Sachsenhausen. Toteż nic dziwnego, że profesorowie i docenci zaproszeni do sali posiedzeń Senatu (obok auli ozdobionej portretami kolejnych rektorów) szli na to zebranie jak na ścięcie. Tymczasem czekała ich niespodzianka. Wiceminister wyznał na wstępie, że komisja jadąc do Lwowa nie spodziewała się tak wysokiego poziomu uczelni i tak wysokich kwalifikacji naukowych u wszystkich wykładowców. Dlatego na mocy orzeczenia komisji wszyscy profesorowie i docenci zostają zatwierdzeni i pozostają na swych stanowiskach. Funkcję rektora jako dyrektor będzie sprawował Maksym Piotrowicz Sadowskij, który zgodnie z systemem sowieckim będzie administrował uczelnią i utrzymywał kontakt z władzami; natomiast sprawy naukowe i kwalifikacje kadry naukowej prowadzić

będzie prorektor do spraw nauki, którym zostaje Polak, prof. Włodzimierz Krukowski.

Wszyscy dziekani pozostają również na swych stanowiskach i będą prowadzić sprawy naukowe swych wydziałów. Natomiast do dziekanów — zgodnie z systemem sowieckim — zostają przydzieleni pomocnicy, tzw. „pomdeki” do załatwiania spraw studenckich (urlopy, stypendia, usprawiedliwienia itd.).

Odbyło się też zebranie aktywu Komsomołu, na którym wiceminister wezwał, aby studenci dobrze wykorzystali okazję i wysoko sobie cenili możliwość studiowania na tej znakomitej uczelni. Od tej chwili ustały ataki, drwiny i wyszydzania ze wszystkiego, co polskie, a postawa żydowskich i ukraińskich komunistów stała się bardziej umiarkowana.

Następnie komisarz Jusimow zorganizował „likwidacyjne zebranie” Bratniej Pomocy, które odbyło się między 15 a 20 X 1939 r. Większość obecnych na sali stanowili Żydzi; Ukraińców i Polaków było mało; tzw. „likwidacja” odbywała się w niezgodzie ze statutem, gdyż dokonywali jej nieczłonkowie.

„Na sali orkiestra wojskowa grała marsze; nie wiadano wtedy, że były to mundury NKWD. Za katedrą zasiadła grupa 6—8 osób, a wśród nich jako zagajający Żyd rosyjski w skórzanej kurtce i skórzanym kaszkiecie, którego nie zdjął w czasie zebrania. Przedstawił się jako «komisarz Politechniki». Był to właśnie tow. Jusimow, ppłk z zarządu politycznego Armii Czerwonej. Przemawiał po rosyjsku, wykazując, że teraz po upadku «jaśnie-pańskiej Polski» należy zlikwidować jej nadbudowę, tj. organizację studencką powołaną do gnębienia ludu pracującego; za to wszystko, co było, odpowiedzialni są członkowie kierownictwa tej organizacji, którzy znajdują się na tej sali”.

Jako drugi wystąpił Jan Krasicki, już wtedy II sekretarz Miejskiej Organizacji Komsomołu. Odegrał on tutaj rolę prowokatora do zaplanowanego ludobójstwa. Z przemówienia tego pamiętam charakterystyczny fragment, gdy Krasicki, omawiając działalność antysemicką i prześladowanie Żydów, użył słowa „Żyd”, wtedy komisarz Jusimow zerwał się oburzony, wykrzykując po rosyjsku, że nie wolno (nieźlia) używać słowa „Żyd”, bo jest to słowo obraźliwe, tylko należy używać słowa „Jewriem”. Krasicki spokojnie usiłował wytłumaczyć po polsku, że w języku polskim nie ma słowa „Jewriem”, tylko słowo „Żyd”. Gdy Krasicki ponownie użył słowa „Żyd”, komisarz znów zerwał się z miejsca, zwymyślał go grożąc pięścią i nakazując używać słowa „Jewriem”. Słowo „Żyd” w tym czasie oznaczało w języku rosyjskim syjonistę, a więc faszystę.

Po chwili Krasicki przemawiał dalej, używając teraz nowego słowa z języka polskiego: „Izraelita”, co już nie wzbudziło protestów. Następni mówcy — komuniści żydowscy — stwierdzili, że na sali są obecni działacze organizacji antysemickich. Komisarz polecił ich wskazać. Wyciągnięci przemocą z miejsc i bici, doprowadzeni zostali do mównicy, aby się tłumaczyli. Tam zostali znów pobici i skopani, wreszcie wywleczeni przez członków orkiestry w mundurach na korytarz. W czasie gdy orkiestra znów grała, usłyszałem wyraźnie strzały na korytarzu. Po zebraniu otworzono drzwi sali; wszyscy musieli przechodzić przez korytarz, a tam

za ławkami w kałużach krwi leżeli nieruchomo wyprowadzeni uprzednio studenci.

Oto nazwiska ofiar, które udało się ustalić: Ludwik Płaczek, stud. IV roku, kierownik I DT, członek Korporacji „Scythia”; Jan Płończak, stud. III roku, członek wydziału „Bratniaka”, również należący do korporacji „Scythia”; Henryk Różakowski, stud. IV roku, pochodzący z Wielkopolski; wszyscy z Wydziału Mechanicznego.

Następnymi ofiarami byli również studenci. Po listopadowym alercie harcerskim w dzień Święta Zmarłych na cmentarzu Orłąt poszukiwano organizatorów. Aresztowano studenta IV roku studium lotniczego, harcmistrza, podchorążego-pilota Edwina Bernata, w którego mieszkaniu przy ul. Głębokiej zorganizowany był przez NKWD tzw. „kocioł”.

Zaginęli bez wieści: student IV roku Wydziału Mechanicznego — Jan Mięśowicz, pochodzący z Sanoka, oraz student III roku Inżynierii — Stanisław Międzybrodzki ze Stanisławowa. Podczas przesłuchiwań w więzieniu „Brygidki” został zamordowany młodszy asystent Stanisław Piekarski, przewodniczący Stowarzyszenia Asystentów, którego rodzicom oddano pokrwawione ubranie.

Przepadli bez wieści: student Inżynierii Leszek Bobowski, aresztowany razem z księdzem Cieńskim przy próbie ucieczki 17 IV 1940 r. z „kotła” na plebanii parafii Św. Marii Magdaleny; student Wydziału Mechanicznego Tadeusz Chmielewski oraz młody inżynier Stanisław Moczarski. Wyliczenie to może być niekompletne.

Mianowany przez władze sowieckie prorektorem prof. Włodzimierz Krukowski w swym postępowaniu jako Polak zasłużył na najwyższe uznanie, a mając ułatwiony dostęp do środowiska ówczesnej władzy na Politechnice, wywarł zbawienny wpływ na wiele decyzji, ratując studentów Polaków od represji.

Poprzedniego rektora prof. Antoniego Wereszczyńskiego łatwo się pozbyto (bez prawa do emerytury), gdyż zlikwidowano jego Katedrę Nauk Społecznych i Prawniczych na Wydziale Inżynierii, ponieważ szerzyła ona „fałszywe rozumienie dziejów ludzkości”. Prorektora prof. Antoniego Łomnickiego, skoro jego Katedra Matematyki była na pewno neutralna politycznie, usunięto, gdyż został wybrany i zatwierdzony przez władze polskie.

W tym samym czasie zlikwidowano też Katedrę Ekonomiki Społecznej i Polityki Agrarnej, gdyż prof. Caro zmarł jeszcze przed wybuchem wojny, a zastępca profesora doc. dr Wincenty Styś przebywał za granicą.

Do kierownictwa politycznego przy „komisarzu” od samego początku należał Bronisław Bochenek (1913—1973), syn znanego adwokata z mieszczańskie kupieckiej rodziny krakowskiej. Rozpoczął studia w roku akademickim 1931/32 na Wydziale Mechanicznym. Jego stryjem był rotmistrz 8 pułku ułanów — Lucjan Bochenek, zamordowany w czasie ulicznej komunistycznej rewolty w 1923 r. na ulicach Krakowa. Bronisław Bochenek uchodził w gronie kolegów za agenta sowieckiego wywiadu. Jemu to przypisuje się pierwsze ofiary na Politechnice; zadenuncjował, jak wspomniałem poprzednio, mgra praw Mariana Dubaniowskiego.

B. Bochenek był również sprawcą aresztowania prof. dra E. Geislera, kuratora Towarzystwa Bratniej Pomocy, umiającego pozyskać zaufanie mło-

dzieży. Prof. Geisler, okrutnie męczony w śledztwie, przewożony z więzienia do więzienia, został zwolniony, gdy nie zdołano mu wykazać żadnej winy.

Drugim denuncjatorem był Jan Minorski, student Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. We Lwowie jako „bieżeniec” był wręcz niebezpieczny dla otoczenia.

Każdy musiał należeć do związku zawodowego, tzw. „profspiłki”. Kto nie należał, nie mógł być pracownikiem Politechniki. „Profspiłką” od samego początku kierował inż. Jarosław Żaba. W czasie przyjmowania do tej organizacji z sali padały dość drażliwe pytania; poddawano delikwenta ocenie za działalność na uczelni, w życiu publicznym, a nawet prywatnym. Kto był „faszystą”, co wynikało z przynależności do określonych organizacji z okresu przedwojennego, lub burżujem, ten nie mógł należeć i być przyjętym; w konsekwencji nie mógł znaleźć pracy, co doprowadzało do odmowy wydania paszportu (dowodu osobistego). Jeśli nawet go wydano, to był zaopatrzony w klauzulę „paragraf 11” co oznaczało, że ta osoba musi opuścić swoje dotychczasowe miejsce zamieszkania i zameldować się w odległości 50—100 km.

Z końcem grudnia 1939 r. został usunięty dyscyplinarnie z Politechniki inż. Zbigniew Budznowski, bardzo utalentowany st. asystent II Katedry Budowy Mostów (kierownik prof. A. Kuryłło). Była to zemsta działaczy komsomolskich, którzy wystąpili z zarzutami gnębienia studentów Żydów (Żydzi, uzdolnieni do nauk ścisłych, szybko przechodzili przez pierwsze dwa lata studiów, natomiast projektowanie sprawiało im pewne trudności).

W I Katedrze Budowy Mostów (kierownik prof. St. Brzozowski) również miała miejsce podobna historia. Starszy asystent inż. Jerzy Węgierski został postawiony przed komisją dyscyplinarną i usunięty z grona pracowników za gnębienie Żydów przy ćwiczeniach z projektowania. W celu zachowania pozorów obiektywności uczyniono prof. G. Sokolnickiego przewodniczącym tej komisji, który nic nie mógł zdziałać wobec jednolitej i wręcz niebezpiecznej postawy żydowskich komunistów.

W styczniu 1940 r. dokonano formalnego podporządkowania spraw personalnych przepisom sowieckim. Wszystkich pracowników zobowiązano do uczęszczania na kursy szkoleniowe języka rosyjskiego lub ukraińskiego oraz historii wszechzwiązkowej partii komunistycznej (bolszewików). Zajęcia dydaktyczne na uczelni odbywały się w języku polskim, za wyjątkiem wykładów ideologicznych. Podczas Świąt Bożego Narodzenia i Świąt Wielkanocnych zajęcia odbywały się normalnie, gdyż święta te nie były uznawane jako dni wolne od pracy; polska młodzież podkreślała tylko staranniejszym ubraniem świąteczny charakter tych dni.

W 1940 r. został zamordowany w więzieniu przy ul. Łąckiego wieloletni docent modelowania — Jan Nalborczyk (ur. w 1870 r.), Obrońca Lwowa, powstaniec śląski, artysta-rzeźbiarz, którego wiele prac zdobi zakopiański kościół parafialny. Wkrótce aresztowany został syn prof. Zygmunta Ciechanowskiego — Artur, za przynależność do konspiracyjnej organizacji „Wyzwolenie”. Został stracony w więzieniu na parę dni przed agresją niemiecką.

Cudem ocalał natomiast więziony inż. Jan Paweł Wajs z Korporacji „Znicz”, natomiast zaginął bez wieści dr inż. Zdzisław Rodewald, adiunkt Chemii Ogólnej.

W czerwcu 1941 r. wyjechał do ZSRR jako kierownik grupy studentów odbywających praktyki przemysłowe inż. Jarosław Żaba. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej uniemożliwił mu powrót do Lwowa. Pozwoliło to na kolejną zmianę „skóry”. Jak się dowiedziałem, inż. Jarosław Żaba po wielu latach stał się działaczem niepodległościowym i antykomunistycznym. W 1978 r. przybył do Toronto na zjazd organizacji polonijnych jako czołowy działacz Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Wielkiej Brytanii. Dawny przewodniczący „Profspółki” stał się po wojnie niezłomnym patriotą i kombatantem.

Władze radzieckie, zmuszone do opuszczenia Lwowa pod naporem armii niemieckich, zdążyły przez ostatni tydzień wymordować w okrutny sposób ok. 3000 uwięzionych przy ul. Łąckiego, ul. Kazimierzowskiej (Jachowicza — Brygidki) oraz na Zamarstynowie. Tow. Szpilko, kierujący administracją na Politechnice, „zapomniał” wypłacić pobory pracownikom za okres urlopowy i ulotnił się ze Lwowa.

Aby sobie zdać sprawę z sytuacji narodowościowej na wyższych uczelniach Lwowa podczas tzw. I okupacji sowieckiej, warto zapoznać się z zestawieniem statystycznym ogłoszonym oficjalnie w dzienniku „Czerwony Sztandar”.

Uczelnia	Ogółem studentów	Liczba			Procent		
		Polaków	Ukraińców	Żydów	P	U	Z
Uniwersytet	1617	362	540	715	22,4	33,4	44,2
Politechnika	2058	547	345	1166	26,6	16,7	56,7
Instytut Medyczny	1400	375	433	592	26,8	30,9	42,3
Instytut Weterynarii	566	303	192	71	53,5	39,9	12,5
Instytut Pedagogiczny	558	88	184	286	15,7	33,0	51,5
Akademia Handlowa	470	94	81	295	20,0	17,3	62,7
Razem	6669	1769	1775	3125	26,5	26,6	46,9

Wejście wojsk niemieckich do Lwowa w poniedziałek 30 VI 1941 r. zostało początkowo przyjęte z ulgą przez mieszkańców, a przez Ukraińców z

entuzjazmem. Społeczeństwo było już zmęczone terrorem politycznym i liczyło na zmianę, jaka to miała być zmiana, dość szybko się można było przekonać. *Ambo meliores!*

Zaraz po wejściu wojsk niemieckich do Lwowa w poniedziałek 30 VI 1941 r. przybył też ukraiński batalion „Nachtigall”, przeznaczony do akcji politycznych. Dokonano wtedy we Lwowie licznych aresztowań, a niebawem mordy lwowskich profesorów zastrzelonych nocą z 3 na 4 lipca 1941 r. na stoku Wzgórz Wuleckich poniżej II Domu Techników. Ograniczymy się tutaj do listy „politechnicznej”:

Włodzimierz Krukowski, lat 53, prof. miernictwa elektrotechnicznego,
Bronisław Longchamps de Bèrier, lat 25, absolwent Politechniki,
Zygmunt Longchamps de Bèrier, lat 23, student Politechniki,
Antoni Łomnicki, lat 60, prof. matematyki,
Stanisław Pilat, lat 69, prof. technologii naftowej,
Andrzej Progulski, lat 29, inż. elektryk, syn Stanisława P. prof. medycyny,
Włodzimierz Stożek, lat 57, prof. matematyki,
Eustachy Stożek, lat 29, inż. elektryk, asystent Katedry Pomiarów Elektrotechnicznych, syn Włodzimierza,
Emanuel Stożek, lat 24, absolwent Wydziału Chemii, syn Włodzimierza,
Kazimierz Vetulani, lat 52, prof. mechaniki teoretycznej,
Kasper Weigel, lat 61, prof. miernictwa,
Józef Weigel, lat 33, mgr praw, syn Kaspra,
Roman Witkiewicz, lat 55, prof. pomiarów maszynowych.

Wszyscy zostali pogrzebani na miejscu zbrodni, lecz 8 X 1941 r. po dokonaniu ekshumacji i wywiezieniu zwłok do lasu Krzywczyckiego, ciała zamordowanych oblano benzyną i spalono, a popioły rozsypano. Osobno dnia 28 VII 1941 r. zgładzono prof. geometrii wykreslonej Kazimierza Bartla, lat 59.

Na początku lipca 1941 r. nastąpiło zamknięcie Politechniki, a pracowników pozostawiono bez uposażenia. Główny gmach został zajęty na szpital dla armii niemieckiej. Komisarycznym zarządcą Politechniki z ramienia władz niemieckich został Ukrainiec prof. Ewgen Perchorowycz.

W marcu 1942 r. ogłoszono wpisy na uczelnię oraz wyznaczono rozpoczęcie zajęć na 15 IV 1942 r. Politechnika miała uruchomić kursy budowy maszyn, elektrotechniki, budowy dróg i mostów, miernictwa, architektury, budownictwa lądowego, budownictwa wodnego, chemii przemysłowej, rolnictwa i leśnictwa. Te specjalizacje miały mieć własne kierownictwa pochodzące z nominacji od władz niemieckich.

Polskie państwo podziemne wykazało niezwykłą w tych warunkach sprawność. Postanowiono wykorzystać sposobność kształcenia młodzieży, zachowując wyższy poziom nauczania i utrzymując tajne więzy celem zachowania całości uczelni; był to wynik nawiązania kontaktu z Delegaturą Rządu Polskiego na kraj. Ustalono wtedy tajne zasady działania kursów:

- 1) wszystkie kursy kontynuują nadal tajne istnienie Politechniki jako niepodzielnej uczelni;
- 2) będzie realizowany akademicki poziom nauczania

nia na zasadzie programu ustalonego na rok 1939/40; 3) po ustąpieniu okupacji kraju studia te będą uznane jako studia wyższe, na poziomie akademickim; 4) studia oficjalne i jawne wobec okupanta w rzeczywistości były objęte systemem tajnego nauczania; 5) wszystkie kierunki tych studiów i pozornie odrębne instytuty nadal stanowią integralną całość Politechniki Lwowskiej i rządzą się polskim prawem publicznym i prywatnym.

Uruchomienie tych studiów było wielkim dobrodziejstwem dla młodzieży w okresie okupacji Lwowa przez Niemców. Dopiero po wojnie wyszło na jaw, że z Delegaturą Rządu współpracowała ściśle komórka konspiracyjna na Politechnice, w jej skład wchodził profesorowie: Włodzimierz Burzyński, Marian Kamiński, Edward Sucharda, Janusz Groszkowski i paru innych, których nazwisk nie udało mi się ustalić. Konspiracja ta objęła nieliczne i starannie dobrane grono ludzi.

Na pierwszym trymestrze po uruchomieniu tych studiów było 759 słuchaczy, na kursie rolniczym 181, na kursie lasowym 50, na pozostałych wszystkich innych technicznych 508 słuchaczy. Na wszystkich kursach, łącznie z uniwersyteckimi, było 1736 słuchaczy.

Z końcem 1942/43 roku liczba słuchaczy ukraińskich gwałtownie się zmniejszyła, a to z powodu mobilizacji do dywizji „Hałyczyna” (Division SS Galizien), w rezultacie czego pozostali sami Polacy. Studia dawały naszej młodzieży nie tylko wykształcenie, ale też ochronę przed wywozem na przymusowe roboty do III Rzeszy.

Podczas okupacji niemieckiej 13 IV 1943 r. zostały ujawnione zbrodnie sowieckiego okupanta; w grobach katyńskich odkryto zwłoki m.in. doc. matematyki dra Stefana Kaczmarza, por. rez. 22 pułku piechoty w Siedlcach; studenta IV roku Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej — Wilhelma Bielaczycy, pochodzącego z Chrzanowa, który jako podchorąży artylerii rezerwy tam znalazł koniec swego młodego życia, asystenta inż. Ludomira Dzierżanowskiego, ur. w 1902 r. w Tarnopolu; w Starobielsku zginął asystent Zenon Thiel; w Ostaszku inż. Adam Karasiński, ppor. rez. 27 p., członek Korporacji „Orleń”.

W obozie Janowskim we Lwowie zginęli: wybitny przedstawiciel nauk technicznych, kierownik Laboratorium Aerodynamicznego doc. dr Zygmunt Fuchs z żoną oraz pionier badań geologicznych metodami elektrycznymi doc. dr Izaak Rosenzweig. W Warszawie w wyniku egzekucji publicznej (11 XII 1943) zginął prof. dr Stefan Bryła, wieloletni profesor Politechniki Lwowskiej, później warszawskiej, chluba polskiej nauki.

Ważne było informowanie polskiego społeczeństwa o sytuacji na frontach walki; wiadomości dla profesorów przekazywał student V roku Wydziału Mechanicznego Kazimierz Woźniewski oraz asystent inż. Władysław Fischer. Akcja ta była prowadzona w latach 1941—1945 z nasłuchu radiowego.

Kierownictwo uczelni powierzyły władze okupacyjne profesorowi elektrotechniki z Politechniki w Monachium, drowi Teodorowi Bödefeldtowi, który zaangażował wszystkich dotychczasowych pracowników, za wyjątkiem prof. Wilhelma Borowicza. Urodzony w Wielkopolsce w Grabowie w 1925 r. profesor podpisał deklarację przynależności jako „Reichsdeutsch”; uczynił to wraz z

synem Januszem. Jego żona wraz z młodszym synem odmówiła jej podpisania. Prof. Borowicz został technicznym dyrektorem „Landwirtschaftliche Zentralstelle” i urzędował jako „Ritter von Borowitz”.

Prof. Bödefeldt powołał na Katedrę Nauk Prawnych tak pokrzywdzonego prof. Antoniego Wereszczyńskiego. W okresie początkowym przy rektorze Bödefeldcie znaczącą rolę sprawował prof. Edward Sucharda, a pod koniec okupacji niemieckiej prof. W. Burzyński, któremu Niemcy przed wycofaniem się powierzyli kierownictwo uczelni. Wcześniej, bo jeszcze w marcu 1944 r., prof. Bödefeldt opuścił Lwów, udając się do Turcji, gdzie drukowano III wydanie jego podręcznika maszyn elektrycznych. Swoim przyzwyczajeniem postępowaniem zapisał się dobrze w pamięci Polaków.

W maju 1944 r. wyjechał do Częstochowy prof. St. Łukasiewicz, który to fakt już w roku następnym będzie ważny dla dalszych dziejów uczelni.

Od 22 lipca 1944 r. dowództwo AK ogłosiło akcję „Burza”, podejmując walkę i wypierając Niemców; gmachy Politechniki zostały zajęte przez kompanię Kedywu dowodzoną przez cichociemnego kpt. Piotra Szewczyka. Załoga Politechniki pozostawała pod komendą kpt. Adama Brudkowskiego (po wojnie: Andrzej Kwiatkowski). W gmachu głównym Politechniki, wykorzystując pozostawiony sprzęt rozpoczęła organizować szpital AK Stanisława Domosławskiego, lekarz i komendantka WSK. Radość była powszechna, niestety tylko chwilowa, gdy miasto w jednej chwili pokryło się flagami biało-czerwonymi. Za jednostkami Armii Czerwonej weszły niemal natychmiast oddziały NKWD i tak dobrze znający środowisko komisarz Jusimow.

W tym samym czasie, ale na terenie ziemi jasielskiej, zginął b. asystent Katedry Maszyn Kolejowych — inż. Stanisław Jacheć, członek korporacji „Scythia” i były członek wydziału „Bratniej Pomocy”. Formalnie był urzędnikiem nadleśnictwa Błażowa w pow. jasielskim, będąc równocześnie oficerem AK; wykładał na kursach maturalnych w oddziałach partyzanckich; zginął z bronią w ręku pod Błażową 28 VII 1944 r. w obronie szpitala partyzanckiego.

W sierpniu 1944 r. przybył doc. I. N. Jampolski z Instytutu Politechnicznego w Odessie, wyznaczony na organizatora Lwowskiego Instytutu Politechnicznego. Prof. W. Burzyński został aresztowany pod zarzutem kolaboracji z Niemcami, a bezpośrednią tego przyczyną był jego sprzeciw, gdy zamierzano powołać polskich studentów do Armii Czerwonej. Został osadzony w więzieniu przy ul. Łąckiego na długi okres 10 miesięcy; był tam maltretowany nocnymi przesłuchaniami, lecz wobec bezpodstawności zarzutów kolaboracji oraz wskutek wyjątkowego hartu ducha, woli i inteligencji w końcu został zwolniony.

Docent dr Donat Längauer, który w 1929 r. przybył do Polski z terenu Łotwy, tutaj w 1932 r. uzyskał doktorat i od 1933 r. wykładał technologię przemysłu solnego na Politechnice Lwowskiej. Już przed wybuchem II wojny, działając w konspiracji, założył „jaczekę” komunistyczną, bacznie obserwującą miejscowe stosunki. Sąd podziemny AK wydał na niego wyrok śmierci, który został wykonany na cmentarzu Łyczakowskim. Wyrok

zapadł za sporządzenie listy Polaków, których NKWD, poczynając od 2 I 1945 r., aresztowało i deportowało do Krasnodonu. W nieludzkich warunkach 11 II 1945 r. zmarł tam m.in. Emil Łazoryk, aresztowany 4 I.

Wskutek wyniszczającej pracy i głodowego odżywiania w „prowieroczno-filtracjonnom” obozie w Krasnodonie zmarł 25 VI 1945 r. w szpitalu w Woroszyłowgradzie (obecnie: Ługieńsku) prof. dr Tadeusz Kuczyński, którego wcześniej zwolniono z obozu, lecz nie ocaliło mu to życia. Po zmianie kursu wobec Polaków i możliwości wyjazdu do PRL resztę uwięzionych władze zwolniły w czerwcu 1945 r. Dzięki temu przeżyli i nie ulegli ostatecznemu wyniszczeniu pozostali profesorowie: Witold Minkiewicz, Aleksander Kozikowski z synem Kazimierzem, docentem zoologii, Edwin Płazek, Stanisław Fryze, wielu asystentów m.in. K. Pfizner, oraz absolwenci m.in. inż. N. Rembowski; natomiast obozu nie przeżył N. Napadiewicz, dyrektor techniczny lwowskiej gazowni.

Ówczesny meldunek AK podaje liczby aresztowanych i deportowanych na ok. 17 300 osób, w tym 31 pracowników naukowych Uniwersytetu i Politechniki, oraz 38 inżynierów i techników, w tym 2 zajętych przy konserwacji Panoramy Racławickiej. Większość z tej liczby powróciła przed końcem 1945 r.

Pamiętnego dnia 4 I 1945 r. podczas trwających aresztowań i deportacji przybyła do Lwowa delegacja Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z Lublina, ze znanym poetą i pisarzem Janem Brzozą* na czele. Delegacja ta przedłożyła w auli Politechniki niezwykle ostro ułożoną rezolucję potępiającą działalność rządu polskiego w Londynie oraz Armii Krajowej zapowiadając, że kto jej nie podpisze, będzie traktowany jako hitlerowiec i wróg.

Wśród zebranych 17 profesorów zapanowała zupełna cisza, Jan Brzoza wykrzykiwał nadal głośno, ale rektor Jampolski starał się go uciszać mówiąc, że ma zaufanie do swoich profesorów, a następnie kierując wzrok do ostatnich krzeseł zdecydował: „wy, profiessor Szewalski, budietie pierwszym”. Ale prof. Szewalski znalazł znakomite wyjście. Oświadczył, że nie podpisze, bo to równałoby się przyjęciu odpowiedzialności za nieznaną i nie ogłoszoną treść całej rezolucji, ale najważniejszą przyczyną jest szafowanie przez Jana Brzozę określeniami hitlerowców, bo to jest obelga. Gdy rektor zwrócił się do prof. K. Zipsera jako seniora grona z prośbą o złożenie podpisu, otrzymał tę samą odpowiedź; rektor zamknął więc zebranie bez podpisania hańbiącej rezolucji.

Przebywający w Częstochowie prof. St. Łukasiewicz udał się z końcem stycznia 1945 r. do Lublina i tam od ministra WRiOP Stanisława Skrzyszewskiego otrzymał nominację na organizatora i rektora przyszłej Politechniki Gdańskiej. Prof. Łukasiewicz zawiadomił o swym zadaniu profesorów pozostałych we Lwowie, zaprosił ich do współpracy i zaproponował stanowisko prorektora Politechniki Gdańskiej prof. Kazimierzowi Zipserowi.

* Jan Brzoza, właściwe nazwisko Józef Wyrobiec (1900—1971), napisał m.in. *Pamiętnik bezrobotnego* — nagroda w 1983 r.

We Lwowie 13 II 1945 r. ukazał się nadzwyczajny dodatek „Czerwonego Sztandaru”, z którego społeczeństwo dowiedziało się po raz pierwszy i oficjalnie o postanowieniach konferencji odbytej w Jałcie — ustęp VI dokumentu jałtańskiego *O Polsce* głosił: „wschodnia granica Polski powinna iść wzdłuż linii Curzona z odchyleniami od 5 do 8 km na korzyść Polski [...] określenie zachodniej granicy Polski będzie odłożone do konferencji pokojowej”.

Gdy otworzono biura repatriacyjne, wtedy i pracownicy Politechniki musieli o sobie zdecydować, czy wyjechać do PRL, czy też pozostać, przyjmując obywatelstwo radzieckie. Wybór był trudny i podejmowany z goryczą w sercu. Odbyte pod przewodnictwem prof. K. Zipsera zebranie uchwaliło, że personel naukowy Politechniki Lwowskiej jako zespół przeniesie się do Gdańska, gdzie prof. Łukasiewicz jest rektorem i wszystkich kolegów zaprasza; uchwalono, że cały zespół zorganizuje w Gdańsku Politechnikę Morską i pozostaje pod władzą prorektora K. Zipsera działającego we Lwowie do czasu deportacji. Na organizatora wyjazdu wybrany został prof. Robert Szewalski.

Uchwała ta została przekazana do Lublina; już po 6 dniach wiceminister WRiOP Władysław Bieńkowski zawiadomił, że rząd w Lublinie nie zatwierdził uchwały o Politechnice Morskiej, ale domaga się przyjazdu rozproszonego grona profesorskiego do Krakowa, Gliwic, Wrocławia i Gdańska, bo „wszędzie potrzeba zasilić kadrę naukową w Polsce na nowo powstających uczelniach znakomitymi fachowcami z Politechniki Lwowskiej”.

Komentowano tę decyzję jako zemstę za stałą postawę patriotyczną lwowskiej uczelni, za jej Krzyż w Obronie Lwowa i uważano, że stanowi to zamiar wymazania i wygaszenia tradycji Politechniki Lwowskiej.

Zaprzeczono wówczas okazję natychmiastowego uruchomienia dobrej politechniki, dobrze wyposażonej w kompletnie zachowane laboratoria i pomoce naukowe na terenie Gdańska; przyjęto natomiast zasadę uruchamiania kilku uczelni słabych, pozbawionych urządzeń, które z wielkim trudem dopiero po wielu latach utworzono.

Uchwała rządu lubelskiego była drugim zniszczeniem Politechniki Lwowskiej; pierwszego dokonały konsekwencje układu jałtańskiego, drugiego decyzja rządu w Lublinie pod przewodnictwem premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego i ministra St. Strzeszewskiego.

Stuletnia tradycja i ogromny dorobek naukowy i wychowawczy, uznanie za granicą, udział uczelni w odbudowie międzywojennej Polski — wszystko to stanowi już księgę zamkniętą, ale wyraża dorobek nauki polskiej, który nie może być zapomniany.

Wyjazdy do PRL odbywały się grupowo, całymi rodzinami, pociągami towarowymi w „bydlęcych” wagonach. Cały majątek uczelni, inwentarz ruchomy, wyposażenie laboratoriów, wszystkie katalogi i archiwa pozostały we Lwowie; tylko część biblioteki technicznej (największej w Polsce) została przekazana Politechnice Krakowskiej.

Dobra materialne pozostały we Lwowie, stanowiąc podstawę do działalności Lwowskiego In-

stytutu Politechnicznego imienia Lenina, ale dobra duchowe przeszły do kraju nad Wisłą i nad Odrą; te dobra duchowe reprezentowane przez pozostałych przy życiu profesorów, docentów i asystentów oraz całą rzeszę wychowanków przysłużyły się dobrze Ojczyźnie przy zakładaniu i rozwijaniu nowych uczelni, zakładów przemysłowych, przy odbudowie mostów, dróg i kolei że-

laznych. W ten sposób Politechnika Lwowska żyje nadal i ma trwałe miejsce w dziejach nauki polskiej.

Na zakończenie trochę statystyki; spośród 65 profesorów, którzy byli czynni 1 IX 1939 r., tylko 35 mogło się włączyć do odbudowy kraju po wojnie, co stanowiło 53,8% dawnego zespołu.

EUGENIUSZ DMYTRÓW

Powstanie i zagłada wsi Ostoja

Ziemia stanisławowsko-pokucka była nie tylko szczerze wyposażona w dobra naturalne, takie jak ropa naftowa, gaz ziemny, sól kuchenna i potasowa, węgiel brunatny, alabaster itd., ale cechowała ją niezwykłą urodą i urozmaicenie krajobrazu. Obok malowniczych gór pasma Gorganów i Czarnohory, opisanych przepięknie przez Stanisława Vincenza i Antoniego Ossendowskiego, lub wcześniej przez Oskara Kolberga, znajdujemy tam krajobraz podgórski, przechodzący w lekko falisty teren zmierzający ku Dniestrowi. Kraina była poprzecinana prawobrzeżnymi dopływami tegoż Dniestru: Stryjem, Świcą, Łomnicą, Łukwią i obiema Bystrzycami: Sołotwińską i Nadworniańską. Być może ukształtowanie terenu i jego uroda wpłynęły na lokalizację stolicy Księstwa Halickiego we wczesnym średniowieczu. Rzeczywiście, skrawek ziemi ograniczony rzekami: Łomnicą, Łukwią i Dniestrem jest, a raczej był w okresie międzywojennym pełen zabytków historycznych. Przede wszystkim nad Haliczem, położonym na brzegu Dniestru, górowały ruiny zamku. Zamek leżał na wysokim wybrzeżu, kilkadziesiąt metrów nad miastem. Ceglane ściany miały do 2 m grubości. A trzeba zaznaczyć, że pierwotne położenie Halicza było inne, około 5 km na pld. zachód od obecnego, na wysokim brzegu Łukwi, w obecnej wsi Kryłos. Ten pierwotny zamek został w XIII w. zniszczony przez Tatarów, a Kazimierz Wielki przeniósł miasto nad Dniestr.

W okolicy są jeszcze starsze zabytki. Na wysokim brzegu Łomnicy koło wsi Sokół znajduje się duże cmentarzysko kilkadziesiąt kurhanów z epoki neolitycznej i brązowej. Bliżej ujścia rzeki do Dniestru, we wsi Św. Stanisław, góruje nad terenem kościół i klasztor oo. Franciszkanów. Jest on posadowiony na dawnej romańskiej świątyni, zbudowany zaś został w średniowieczu.

W pobliżu wsi Załukiew znajdowały się dwa cmentarze. Jeden to cmentarz karaimski, bowiem Halicz był znaczącym ośrodkiem Karaimów, drugi zaś gromadził prochy ofiar epidemii cholery, która tu grasowała w II połowie XIX w.

Kraina pomiędzy trzema rzekami była pofałdowana, północno-zachodnie brzegi rzek płaskie, przeciwległe zaś wysokie, urwiste, pokryte przeważnie starym lasem. Wprawdzie Dniestr oddzielał ten obszar od Podola, ale ziemia była podobnie urodzajna, z resztkami podolskiego czarnoziemiu. Pofałdowane pola pokryte były barwną mozaiką łąnów pszenicy, buraków, ziemniaków, ciemnozielonych konopii, błękitnawego lnu i białej gryki. W pobliżu kompleksu leśnego, bujnej dąbrowy, kwitły rzadko gdzie indziej spotykane centurie.

Po I wojnie światowej w omawianej okolicy znajdowały się wsie o ludności bądź ukraińskiej, bądź mieszanej polsko-ukraińskiej. Do pierwszej grupy można zaliczyć Czetwertki, Komarów, Sokół, Załukiew, do drugiej zaś Podgrodzie, Błudniki, Kryłos i in. Wsie były połączone drogami



gruntowymi lub bitymi traktami, jak chociażby droga łącząca Halicz z Komarowem i dalej z Bednarowem, który leżał na szlaku Stanisławów—Kałusz. Wsie były na ogół ubogie, a gospodarstwa o areale poniżej 1 ha nie należały do rzadkości, aczkolwiek bywały także gospodarstwa znacznie większe. Według danych statystycznych z 1931 r. w woj. stanisławowskim na 210,2 tys. gospodarstw 122,0 tys. miało mniej niż 2 ha użytków rolnych. Obok gospodarstw chłopskich występowały też majątki ziemskie. Można tu wymienić takich właścicieli, jak E. Kozicki w Kurypowie, R. Jaroszyńska w Błudnikach, J. Szeparowicz i Anna z hrabiów Tyszkiewiczów Horodyska w Komarowie. Majątek w Kryłosie, podobnie jak kompleks leśny zaznaczony na mapie, należał do metropolity obrządku grekokatolickiego we Lwowie, Andrzeja Szeptyckiego.

Po I wojnie światowej sejm Rzeczypospolitej powziął postanowienie o reformie rolnej. Zubożenie kraju w wyniku działań wojennych znalazło swój wyraz w zadłużeniu wielu majątków. Z tego przede wszystkim powodu częściowej parcelacji uległa posiadłość Anny Horodyskiej w Komarowie. Część gruntów, przylegającą do kompleksu leśnego, wzdłuż potoku, podzielono na działki wielkości 1—3 ha i przeznaczono do wolnej sprzedaży, z pierwszeństwem zakupu przez osoby narodowości polskiej. Nabywcy kupowali po kilka działek, w zależności od możliwości finansowych. Zachował się kontrakt kupna i sprzedaży 5 działek, które kupił Wojciech Orzech za 585 tys. marek polskich. Dokument jest datowany przez Sąd Powiatowy w Stanisławowie dn. 1 IX 1921 r. W tym okresie zakupili grunty także: Franciszek Niemiec, Kazimierz Niemiec, Stanisław Mazur, Wojciech Bienia, Józef Bolanowski, Franciszek Zalewski, Antoni Miś, Paweł Nycz, Ludwik Kuśnierz, Walenty Czahur, Maria Paśtuła, Maria Szafran, Jan Litwa, Jan Łukasiewicz, Wojciech Tarnawski, Grzegorz Łucki, Teodor Bahrynowski, Aniela Jurkowska, Władysław Kohut i Jan Grzesło. Byli to Polacy pochodzący zarówno z Kresów Wschodnich — Hołoskowa, Św. Stanisława koło Kołomyi, Mołodyłowa, jak i z centralnej Polski — Iwonicza i Rymanowa. Wyjątkiem był Rusin Grzegorz Łucki, który pochodził z pobliskiego Bednarowa. Ci pionierzy wytyczyli najpierw drogę łączącą trasę Halicz—Komarów z wsią Sokół. Wzdłuż drogi zbudowano zagrody, tworząc typową wieś ulicówkę. Drugi łańcuch gospodarstw powstał po prawej stronie potoku. Mieszkańcy sami wybrali dla swej wsi piękną nazwę Ostoja. W późniejszym okresie do Ostoi trafili: Danyszczuk, Maciborski, Dźwigała, Bystryk, Szul i Dudek.

Chcąc opisać działalność wsi Ostoja w okresie międzywojennym, nie można tracić z pola widzenia ówczesnych warunków cywilizacyjnych, tła gospodarczego oraz stosunków agrarnych kresowych wsi. Ostoja leżała daleko od miejskich ośrodków. Do najbliższego miasteczka Halicza było 8 km. Nie było tam żadnej komunikacji, połączeń telefonicznych, nie mówiąc o energii elektrycznej czy gazie. Z konieczności ludzie musieli być samowystarczalni, szczególnie w pierwszym pionierskim okresie. Nastąpiła dość szybka integracja społeczna, a rodzinę Łuckich traktowano na równych prawach. Z czasem stosunki między

ludźmi stały się coraz bardziej zażyłe, na co wpłynęło także łączenie młodych w związki małżeńskie.

Brak jakiegokolwiek infrastruktury sprawił, że w pierwszych latach przeznaczono na cele szkoły izbę w prywatnym domu rodziny Frużyńskich. Dopiero w 1930 r. zbudowano budynek 4-oddziałowej szkoły z mieszkaniem nauczycielskim. Szkołę postawiono z funduszy państwowych, jednak przy ogromnej pomocy społeczeństwa Ostoi, które ofiarowało własną robociznę, odległy transport materiałów budowlanych, a także część materiałów. Wcześniej jednak ludzie wybudowali własnym sumptem kościółek obrządku rzymskokatolickiego. Poświęcenie kościoła nastąpiło 1 IX 1929 r. Wcześniej trzeba było się przeprawić przez Łomnicę do kościoła w Błudnikach lub jeździć bryczkami do odległego Halicza.

Mimo iż położenie Ostoi można określić jako najgłębszą prowincję, społeczeństwo nie stroniło od świata i postępu. W szkole uczyli w kolejności: Geislerowa, Morawicka, od 1935 r. Koziarski i na rok przed wojną Stanisława Boska. Ostojanie uczestniczyli w kursach przysposobienia rolniczego, które organizował w Mariampolu k/Jezupola ksiądz Bosak, wielki społecznik, zamordowany później przez Ukraińców. W szkole oprócz nauki dla dzieci organizowane były kursy oświatowe dla dorosłych. Wielkie zasługi w akcji oświatowej położyły nauczycielki Geislerowa i Morawicka, ta ostatnia spokrewniona z Henrykiem Sienkiewiczem.

Wieś przyswajała sobie nowe arkana gospodarki rolnej. Prenumerowano fachowe czasopisma rolnicze, m.in. „Plon”, wprowadzano nowinki z techniki rolniczej, np. stosowano powszechnie podorywki — zabieg nie znany w okolicznych wsiach; wyposażenie w urządzenia rolnicze, początkowo ubogie, zaczęto z biegiem lat uzupełniać i w latach trzydziestych każdy posiadał pługi i brony, obsypniki, a bogatsi mieli wialnie i młynki. Pojawiły się też pierwsze kieraty i młocarnie. Postępowa gospodarka rolna zaczęła szybko przynosić rezultaty. Przed wojną uzyskiwano z 1 morgi 11—13 q pszenicy, tyleż jęczmienia, nieco mniej żyta i około 90 q ziemniaków. Tymczasem średnie plony dla woj. stanisławowskiego wynosiły: 10,2 q/ha pszenicy, 9,8 q/ha jęczmienia i 107 q/ha ziemniaków (Mały Rocznik Statystyczny, Warszawa 1938). Jedna morga ma powierzchnię 0,56 ha, łatwo przeliczyć, że w Ostoi osiągnęto plony blisko dwukrotnie wyższe niż średnią w województwie. Dzięki temu wieś bogaciła się i wiele gospodarstw stać było na wynajęcie służby do prac polowych i gospodarskich, przynajmniej okresowo. W 1937 r. zainstalowano w Ostoi w posiadłości Dźwigałów nowoczesny silnik wietrzny skojarzony z małym młynem.

Polityczne oblicze wsi można określić następująco: dominowało poczucie patriotyzmu ponad podziałami politycznymi. Podziały jednak istniały. Część ludzi była w pełni lojalna wobec ugrupowań skupionych wokół Marszałka J. Piłsudskiego, część zaś była związana z ruchem ludowym. Istniało Koło PSL, a szczególną popularnością cieszył się ksiądz Józef Panaś. Podziały były widoczne nawet w rodzinach, dyskusje gorące, ale nie przekraczały pewnych granic i nie naruszały dobrych obyczajów i poczucia patriotyzmu. O wyrobieniu politycznym ostojan świadczą ich usługi

na cele ogólnospołeczne, wnieśli m.in. duży wkład w budowę ochronki w Haliczu.

Stosunki z okolicznymi wsiami były poprawne, pozbawione nienawiści, mimo różnic narodowościowych i wyznaniowych. Ostojanie przyjmowali okoliczną młodzież do pracy, niejednokrotnie brali udział w zabawach w Wiktorowie, Sokole, Bednarowie. Dopiero krótko przed wojną uwidoczniły się szowinistyczne tendencje, przykładem czego może być postawa popa w Wiktorowie, o wyraźnie antypolskim obliczu. Można powiedzieć, iż wyrażenie „wsi spokojna, wsi wesoła” w pełni pasowało do Ostoi. Nie było kradzieży, bójek, nie mówiąc już o rozboju. Człowiek był człowiekiem przyjacielem, a bano się raczej duchów, a nie ludzi. Zresztą sama przyroda czyniła tę okolicę uduchowioną. Wieczorem w jarze potoku świeciły zimnym srebrnym blaskiem spróchniałe pnie drzewne, a w powietrzu unosiły się roje iskerek — robaczków świętojańskich.

Na Kresach były silnie rozwinięte spółdzielcze organizacje ukraińskie. Ponieważ wieś była polska, trzeba było stworzyć własne organizacje. Pod patronatem kółka rolniczego utworzono w Ostoi sklep, co znacznie ułatwiło mieszkańcom życie. W spółdzielni na składzie znajdowały się maszyny rolnicze, nawozy sztuczne i inne potrzebne w gospodarstwie przedmioty.

Wieś miała też swoje ambicje w dziedzinie kultury. Najpierw otwarto bibliotekę z wypożyczalnią książek. Ambicje sięgały jednak dalej, w kierunku utworzenia czegoś w rodzaju teatru. Pomoc okazał prof. Łuczeński ze Stanisławowa i nauczyciel z Komorowa (nie ustalono nazwiska). Początkowo przedstawiano sztuki po prostu w stodole, później przeniesiono je do świetlicy szkolnej. Kilka razy w roku społeczeństwo Ostoi świętowało swój teatr. W większości były to jednoaktówki pochodzące z „Biblioteki Teatrów Amatorskich”, takie jak: *Zrękowiny u Druzgały*, *Posel czy kominiarz*, ale także *Flirt* M. Bałuckiego czy *Sublokator* Grzymały-Siedleckiego. Porwano się nawet na *Zemstę*, oczywiście tylko we fragmentach, stosownie do możliwości scenicznych i ludzkich. W Ostoi działał mieszany chór kościelny i zespół muzyczny, uzupełniający zarówno przedstawiane sztuki, a w okresie świątecznym jasełka, jak i grający na zabawach i weselach w wielu okolicznych wsiach i miasteczkach.

W Ostoi działała drużyna strzelecka grupująca około 20 osób. Przeprowadzono ćwiczenia, szkolenie wojskowe, zaprawę fizyczną, marsze, itp.

W sierpniu 1939 r. mężczyźni zostali w większości zmobilizowani i wcieleni głównie do 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, a w szczególności do 48 pp w Stanisławowie i 49 Huculskiego pp w Kołomyi. W kampanii wrześniowej w czasie walk 11 Dywizji pod Krzywczą i w Lasach Janowskich pod Lwowem ponieśli śmierć Fryderyk Miś, Jan Rudnicki i Jan Łucki.

Okupacja sowiecka początkowo w niewielkim stopniu zmieniła życie wsi. Po katastrofie wrześniowej i powrocie mężczyzn dokończono zbiory zbóż i okopowych, wysiano oziminy i ze spokojem oczekiwano zimy. Mogło wzbudzać niepokój zachowanie ludzi z okolicznych wsi, ich prowokacyjne wizyty i komentarze, a szczególnie komisyjne spisywanie ludności, przeprowadzone przez okolicznych Ukraińców pod nadzorem funkcjo-

nariuszy NKWD. Na wszelki wypadek zdjęto z dzwonnicy dzwony i zakopano je pomiędzy kościołem a szkołą; nawiasem mówiąc, los dzwonów jest do dziś nie znany. Wychodząc z założenia, że nikt z Ostoi nie miał konfliktu z mieszkańcami z okolicznych wsi, a do wojny utrzymywano z nimi przyjazne stosunki, wieś niczego złego się nie spodziewała.

Katastrofa przyszła nagle w nocy 10 lutego 1940 r. Władze sowieckie zmobilizowały z okolicznych wsi podwozy, a właściwie sanie, i od godz. 2 po północy rozpoczęto akcję wywozową. Do każdego domu podjeżdżały sanie z woźnicą-Ukraińcem i enkawudystą. Budzono domowników, nakazywano zabranie niezbędnych przedmiotów i ładowano ludzi i dobytek na sanie. W zależności od położenia gospodarstwa — na skraju czy w środku wsi — ludzie mieli do dyspozycji od pół do dwóch godzin. Oczywiście nie było mowy o w miarę poprawnej selekcji dobytku, ręce się trzęsły, dzieci płakały, a rozpacz wykluczała rozsadek i spokój. Zestawiono cały transport, który nad ranem ruszył pod karabinami NKWD do stacji kolejowej Jezupol pomiędzy Stanisławowem i Haliczem. W transporcie znalazła się ukraińska rodzina Łuckich, natomiast pozostawiono rodzinę Stanisława Grzesły z żoną i dwojgiem nieletnich dzieci. Po prostu ta rodzina przez przeoczenie NKWD nie znalazła się na liście wywozowej, a prośby z ich strony, aby dołączyć do transportu wywożonych bliskich, spotkały się ze zdecydowanym sprzeciwem enkawudystów. Nie zezwolono nawet na pożegnanie. Na stację w Jezupolu skierowano wiele rodzin, tworząc olbrzymi pociąg kolejowy. Ze stacji udało się wymknąć nielicznym. Uciekli m.in.: Wojciech Orzech senior, Józef Grzesło, Stanisław Tarnawski, Adam Dźwigała, Stanisław Kuśnierz i Alojzy Bienia. Wszyscy oni mieli w perspektywie jakieś możliwości ukrycia się wśród rodzin lub znajomych, a ponadto nie byli związani obowiązkami rodzinnymi, np. opieką nad dziećmi.

Transport w wagonach bydłych, w silny mróz trwał kilka tygodni. Cały transport przed celem podzielono na dwie części. Jedni znaleźli się w Rakiciance, orenbuskiej (czkałowskiej) oblasti, inni w Orlikowce, kustanajskiej oblasti, nowo-pokrowskiego rejonu.

We wsi Ostoja natychmiast po wywozie ludzi zaczęła się planowa dewastacja pozostawionego majątku. Żywy dobytek i duże zapasy ziemiopłodów zostały przetransportowane do kołchozów. Za cichą aprobatą NKWD okoliczna ludność ukraińska rozpoczęła grabież pozostałego majątku, mebli, sprzętu rolniczego, a także drobiu, narzędzi i wszystkiego, co dało się unieść i przedstawiało jakąkolwiek wartość. Oprócz tego niszczone bestialsko to, co pozostało — wycinano sady, burzono częściowo budynki mieszkalne i zabudowania gospodarskie. Wkrótce do tak zdewastowanych gospodarstw władze sowieckie przeniosły ewakuowanych Łemków.

W stosunku do pozostawionej rodziny Grzesłów Łemkowie do końca zachowywali się przyzwoicie i niewrogo, również podczas kolejnej okupacji — niemieckiej. Rodzina Grzesłów gospodarzyła na swoim gruncie także podczas okupacji niemieckiej w latach 1941—43. W tym czasie szalały już bandy „rizunów”, ale do jedynej rodziny polskiej w Ostoi nie dotarły. Dopiero w październiku 1943 r. Sta-

niśław Grzesło, wracając od znajomych przez Sokół, został napadnięty przez mieszkańców tej wsi, oddano do niego kilka strzałów, rannego dopadnięto i kamieniami rozbito głowę. Taką relację żonie zamordowanego przekazał naoczny świadek zbrodni. Wdowa z dziećmi została w Ostoi do lutego 1944 r., po czym przy pomocy ludzi dobrej woli, narażających się na utratę życia, zabrała dobytek i uciekła najpierw do Halicza, później do Stanisławowa. Wieś uległa fizycznej zagładzie.

Wywiezieni ludzie znaleźli się w bardzo ciężkich warunkach, mężczyźni i kobiety pracowali w kopalniach miedzio-siarczanych, w kopalniach złota. Dużo Polaków zostało w kopalniach zasypanych, kilkoro zatruto się gazem. Dużo ludzi poumierało, szczególnie małe dzieci nie wytrzymały głodu, zimna i chorób, szalał tyfus, niektóre rodziny wymierały w całości. Po podpisaniu układu Sikorski—Majski młodzież dążyła do armii gen. Andersa. Nie wszystkim się to jednak udało. Rozdzielone na obie oblasti rodziny chciały się wprawdzie połączyć i wspólnie dzielić los. Te i inne powody sprawiły, że tylko części dawnych ostojan udało się opuścić nieludzką ziemię, inni mężczyźni zostali wcieleni do I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, a niektórzy wręcz do Armii Czerwonej. Kobiety nadal pracowały w strasznych warunkach, zaś dzieci także zostały zmuszone do pracy — nieco starsze przy koniach, młodsze przy owcach. Szczegółem sukcesu dla dwunastolatka okazała się możliwość pozostania szewcem.

Jak przedstawiają się dalsze wojenne i powojenne losy mieszkańców Ostoi? Brak jest pełnych danych, ale chociaż częściowo można je odtworzyć. Ci, którym udało się ewakuować do Iranu, podzielili typowe losy rodaków. Mężczyźni znaleźli

się w II Korpusie. Jan Rudnicki zginął pod Monte Cassino, Frużyńscy znaleźli się w Australii, rodzina Nyczów w Rodezji, Maciborscy, Bystrykowscy i część rodziny Grzesłów w Anglii, Dźwigałowscy w Kanadzie.

Ci, którzy pozostali w ZSRR, a znaleźli się w armii, przeszli szlak bojowy ze wschodu na zachód. Józef Orzech zginął pod Lenino. Niedobitki rodzin wróciły po wojnie do Polski i osiedliły się głównie na ziemiach zachodnich. We Wrocławiu pozostała część dużej rodziny Kuśnierzów, w Prudniku i okolicy Marian Niemiec z rodziną. Starsze pokolenie odeszło już na zawsze. Edukacja sowiecka, która chciała z polskich dzieci zrobić koniuchów, owczarzy lub szewców, jednak zawiodła. Przykładem mogą służyć trzej bracia Kuśnierzowie. Starsi — Tadeusz i Władysław zostali muzykami i wieloletnimi członkami Filharmonii Narodowej w Warszawie, zaś najmłodszy Czesław, równie utalentowany, najpierw był w „Mazowszu”, a później grał w Operetce Warszawskiej.

Tak przedstawiają się losy polskiej wsi na Kresach Wschodnich Ostoi i jej mieszkańców, wsi, która została zgładzona, i mieszkańców, którzy częściowo przeżyli.

Pragnę złożyć serdeczne podziękowania ludziom, którzy przeżyli i zechcieli podzielić się tym, co zapamiętali, aby nie zaginęła z pamięci ludzkiej wieś, która została zlikwidowana i nie występuje w żadnym atlasie na świecie. W szczególności dziękuje pp. Stanisławostwu Kuśnierzom, Stefanii Bartmanowicz — primo voto Stanisławowej Grzesło, Anieli Jakubowicz — primo voto Józefowej Orzech i Helenie Szypułowej.

APEL

Fundacja im. Św. Andrzeja Boboli
53-414 Wrocław 47
Skrytka pocztowa 2143

Przemilczana i zakłamaną historią Narodu Polskiego wymaga uzupełnienia i korekty. W dobie dzisiejszej proces ten nie przebiega w sposób zadowalający. Szczególnie dotyczy to dziejów drugiej wojny światowej na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej, a zwłaszcza ludobójstwa kresowej ludności dokonanego przez terrorystów Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów — Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Wydarzenia te należy ocalić od zapomnienia w imię prawdy historycznej, przerwania upokarzającego milczenia i uczczenia pamięci ofiar.

We Wrocławiu powstała posiadająca osobowość prawną Fundacja im. Św. Andrzeja Boboli, której celem jest:

1. Upamiętnienie tragicznego losu ofiar zbrodni popełnionych przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP.
2. Ujawnienie i udokumentowanie tych zbrodni, jak też wyjaśnienie ich przyczyn na tle materialnej i duchowej kultury ludności zamieszkującej Kresy Wschodnie II RP.

3. Popularyzowanie wiedzy historycznej z tego okresu oraz przeciwdziałanie jej fałszowaniu.

Fundacja realizuje te cele poprzez wykonywanie i umieszczanie w wybranych publicznych miejscach symboli pamięci narodowej, jak też przez prace badawcze i dokumentacyjne, działalność edytorską i popularyzatorską z zakresu historii Kresów Wschodnich II RP.

Nadzór nad Fundacją sprawuje Minister Kultury i Sztuki.

Fundacja ma charakter otwarty, wobec czego do grona fundatorów mogą przystąpić dalsi fundatorzy, zarówno osoby prawne, jak i fizyczne.

Apelujemy do wszystkich ludzi dobrej woli, doceniających wagę zadań podjętych przez Fundację, szczególnie do tych, którzy sami bądź też ich krewni i powinowaci byli ofiarami terrorku ukraińskiego, by weszli w krąg fundatorów.

Rachunek nr 93536-203267-132-3, Powszechna Kasa Oszczędności Bank Państwowy III Oddział we Wrocławiu.

Wrocław 1991 maj 16

Zarząd i Rada Fundacji

LESZEK WIERZEJSKI

Krwawa karta z najnowszych dziejów Stanisławowa

Ze wszystkich miast Małopolski Wschodniej Stanisławów powstał najpóźniej, bo dopiero w połowie XVII w., jednak aż do II wojny światowej odgrywał ważną rolę w życiu politycznym i kulturalnym społeczeństwa polskiego.

Przed 1939 r. liczył ponad 70 tys. mieszkańców i był siedzibą władz wojewódzkich, ośrodkiem rozwijającego się przemysłu i dużym skupiskiem szkolnictwa powszechnego, zawodowego i średniego. Ludność polska nadawała ton życiu miasta, a wielu jego mieszkańców zapisało się chlubnie w naszych dziejach.

W murach Stanisławowa ukończyli gimnazjum poeci Franciszek Karpiński i Mieczysław Romanowski. Na jego cmentarzu spoczęli poeta Maurycy Gosławski i członek Rządu Narodowego w Powstaniu Styczniowym Agaton Giller. Tu urodzili się kardynał Albin Dunajewski, restaurator katedry wawelskiej, i generał Stanisław Sosabowski, dowódca 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, bohater bitwy pod Arnheim.

Gdy na Polskę spadły pierwsze hitlerowskie bomby, mieszkańcy miasta nie odczuli jeszcze całej grozy wojny, która w swoim epilogu miała tragicznie zakończyć trwający 300 lat rozdział w jego dziejach. Dopiero tłumy uchodźców zdążających ku granicy rumuńskiej były pierwszym sygnałem zbliżającej się klęski. Liczono jednak na pomoc aliantów, na zmianę pogody, na opór na wschodnich bezdrożach. Naczelný Wódz opracował jeszcze linię ostatecznego oporu, jakim miało być „przedmoście rumuńskie” na terenie woj. stanisławowskiego.

Dopiero tragiczny poranek 17 września rozwiął wszelką nadzieję. Granicę wschodnią przekroczyła Armia Czerwona, zadając krwawiącej Polsce cios w plecy. Dzień później przez miasto przejechały wycofujące się na południe kolumny brygady pancernej płka Stanisława Maczka. Nikt wówczas nie przypuszczał, że będą to osiatni żołnierze polscy w Stanisławowie. W ślad za nimi weszła do miasta Armia Sowiecka, witana przez miejscowych komunistów, rekrutujących się głównie z biedoty żydowskiej. Tak rozpoczęła się blisko dwuletnia czerwona okupacja nadbystrzyckiego grodu i całych Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Znaczył ją terror NKWD i drastyczne pogorszenie się stopy życiowej wszystkich warstw miejscowego społeczeństwa.

W pierwszej kolejności aresztowano oficerów Wojska Polskiego, policjantów i działaczy politycznych, nie wyłączając nawet członków KPP, któ-

rych Stalin oskarżał o zdradę. Następnie na podstawie rozkazu NKWD nr 001223 z 11 X 1939 r. wraz z załączoną do niego „Instrukcją o trybie przeprowadzania deportacji antyradzieckiego elementu” przeprowadzono cztery wielkie wywózki w głąb ZSRR, głównie do północnego Kazachstanu. Objęły one również mieszkańców Stanisławowa. Ostatnia wywózka miała miejsce w czerwcu 1941 r. — na kilka dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Uderzenie hitlerowców 22 VI 1941 r. na Związek Sowiecki i ucieczkę Armii Czerwonej ludność polska przyjęła z mieszanymi uczuciami ulgi i niepokoju, z nikłą nadzieją na poprawę dotychczasowego tragicznego położenia. Czerwony totalizm zastąpiony został przez brunatny, równie okrutny i zbrodniczy.

Po wyjściu Rosjan, znaczoną krwią pomordowanych więźniów w budynkach NKWD przy ul. Bilińskiego, do miasta weszli Węgrzy, którzy okupowali całe Pokucie aż do linii Dniestru. Rządy „bratanków znad Dunaju” były okresem wytchnienia dla ludności polskiej przed trzyletnim koszmarem, jaki ją czekał po wejściu Niemców. Władze węgierskie hamowały wybujały nacjonalizm części Ukraińców liczących, że pod protektorem Hitlera zbudują własne państwo.

Rządy Węgrów trwały krótko, zaledwie miesiąc, i już na początku sierpnia 1941 r. władzę w mieście i na całym Pokuciu objęli hitlerowcy. 8 i 9 VIII rozpoczęły się aresztowania polskich lekarzy, inżynierów, prawników i księży, a w pierwszym rzędzie polskich nauczycieli wszystkich typów szkół w Stanisławowie. Przeprowadzono je według wcześniej przygotowanej listy, którą szef gestapo Hans Krüger otrzymał od ukraińskich działaczy nacjonalistycznych dra Iwana Rybczyna i nauczyciela ukraińskiego gimnazjum Danysza. Sam Krüger w rok później powiedział cynicznie do Karoliny hrabiny Lanckorońskiej (cytuje za Tadeuszem Kamińskim, *Tajemnica Czarnego Lasu*, „Morze i Ziemia” 1989): „my, gdy wkracamy, zawsze już mamy gotowe spisy tych osób, które mają być aresztowane”.

Dla zmylenia czujności przyszłych ofiar rozpowszechniano mylne informacje, że chodzi tylko o krótkie przesłuchania, a nauczycielom mówiono, że w gmachu gestapo odbędzie się konferencja w sprawie organizacji nowego roku szkolnego. Jeden z nielicznych ocalałych polskich nauczycieli Wilhelm Kalita w swoich wspomnieniach rzuca światło na naiwną wiarę stanisławowskich nauczycieli w niemiecką praworządność i w swoje poczucie bezwiny. Cytuje raz jeszcze za T. Kamińskim:

Takie stanowisko sądów odpowiadało polskim władzom komunistycznym, które chciały pokryć milczeniem losy Polaków na Wschodzie. W tej sytuacji, gdy milczały oficjalne środki masowego przekazu, gdy milczała nawet Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, tragedią stanisławowską zajęli się ludzie dobrej woli, dawni mieszkańcy Kresów, historycy, dziennikarze niezależni, członkowie rodzin pomordowanych.

Wykorzystując popaździernikową odwilż oraz sprawę ministra rządu bońskiego Oberlaendera, organizatora zbrodni popełnionej na profesorach we Lwowie, którą ówczesna propaganda nagłośniła dla doraźnych politycznych celów, dr Józef Zieliński, nieżyjący już historyk Kresów Wschodnich i nauczyciel gimnazjalny w Stanisławowie, sporządził listę inteligencji polskiej tego miasta, wymordowanej latem 1941 r. Zamieścił ją dwukrotnie w „Tygodniku Powszechnym” (nr 49/1959 i po uzupełnieniach nr 21/1960) oraz w „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym” (nr 3/13 z 1961 r.).

Listę uzupełnił mgr Adam Rubaszewski, ekonomista, absolwent II Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Stanisławowie, zamieszkały obecnie w Warszawie. Szerokie tło tragicznym wydarzeniom sprzed 50 laty dał w swoim ciekawym szkicu *Tajemnica Czarnego Lasu* redaktor Tadeusz Kamiński, syn zamordowanego nauczyciela stanisławowskiego.

Na liście męczenników krwawego lata 1941 znajdują się nauczyciele szkół powszechnych, zawodowych, gimnazjów i liceów, a także lekarze, inżynierowie, księża, prawnicy i wojskowi. Są też na niej kupcy i rzemieślnicy różnych zawodów. Lista obejmuje około 200 osób, wśród których należy wymienić szczególnie zasłużonych dla miasta ludzi, jak Leon Ziobrowski, dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędności, lekarze: Andrzej Raczyński, Stanisław Mossor, Józef Kochaj, Adam Hickiewicz i Jan Gutt, dyrektorzy gimnazjów i liceów: Franciszek Jun, Stanisław Umański, Władysław Piskozub, Władysław Drabik, Marian Stefanow i Kazimierz Firganek oraz kupcy: Mikołaj Kramarczyk i Jan Stafiński.

Likwidacja większości nauczycielstwa (ponad 80% ogółu polskich pracowników oświatowych będących wówczas w mieście) oraz części innych grup inteligencji polskiej w Stanisławowie była realizacją tego, co Hitler już we wrześniu 1939 r. nazwał uporządkowaniem terenu, a co wcześniej już Niemcy realizowali w Krakowie i we Lwowie, mordując profesorów tamtejszych uczelni.

W lasach pod Zagwoździem i Pawełczem zakończył się akt pierwszy hitlerowskiej okupacji miasta, po którym nastąpiły nowe mordy, a dokładna liczba ofiar trudna jest do ustalenia. Wielu zginęło w więzieniu gestapo przy ul. Bilińskiego, wielu oddało życie w Oświęcimiu, Majdanku, Dachau czy Gross-Rosen. Ze szczególną zaciekleścią okupant mordował młodzież polską, zwłaszcza har-

cerską, której przewodził żyjący do dziś w Kłodzku Władysław Madej, a także żołnierzy ZWZ-AK. Dzieła niszczenia organizacji niepodległościowych w mieście dokończyli Rosjanie, którzy ponownie zajęli Stanisławów 27 VII 1944 r.

Potem przysłała Jajta i masowy wyjazd Polaków z ziemi praojców. Nad porośniętym lasem mogiłami ofiar krwawego lata 1941 r. zaczął się długi okres urzędowego milczenia. Dopiero w czterdzieści lat później nowy klimat polityczny w kraju pozwolił publicznie uczcić pamięć stanisławowskiej inteligencji i wydobyć jej tragiczne losy z mroków zapomnienia.

Z inicjatywy grona dawnych mieszkańców Stanisławowa, którym przewodzili Adam i Celestyn Rubaszewscy oraz Julian Piotrowski i Tadeusz Szyliński, ufundowana została tablica pamiątkowa. Poświęcił ją podczas uroczystej Mszy św. 6 XI 1982 r. w katedrze wrocławskiej nieżyjący już biskup Wincenty Urban. Na tablicy tej czytamy: „Polakom ziemi stanisławowskiej — Małopolska Wschodnia — którzy oddali życie w okresie II wojny światowej za Wiarę i Ojczyznę, w 40 rocznicę męczeńskiej śmierci ofiar masowych straceń dokonanych przez hitlerowców w Stanisławowie hołd składają Rodacy 1981 rok”.

Tablica w katedrze stała się czynnikiem jednoczącym dawnych mieszkańców Grodu Rewery, którzy już od 10 lat spotykają się w ostatnią niedzielę września, aby modlić się za dusze swoich ziomków.

W latach osiemdziesiątych ufundowano jeszcze kilka tablic ku czci dawnych mieszkańców nadbystrzyckiego grodu, z których dwie znalazły się na warszawskich Powązkach, dwie w Krakowie (klasztor ss. Urszulanek i klasztor w Mogile) oraz dwie na Zasaniu w Przemyślu.

Czcząc pamięć stanisławowskich męczenników, przez wiele lat sądzono, że nigdy nie uda się odnaleźć ich grobów. Józef Zieliński, który pierwszy przerwał złą milczeniową wokół ofiar stanisławowskiej tragedii, pisał „że grobów tych nikt dziś już nie znajdzie i żadnym tradycyjnym symbolem należnego im hołdu nie uczyni”. Stało się inaczej. Dzięki pomocy miejscowej ludności najpierw mgr Adam Rubaszewski z synem Pawłem, a potem dr Kazimierz Międzobrodzki odnaleźli przed trzema laty owe mogiły — doły rozrzucone po obu stronach szosy stanowiącej nową obwodnicę stanisławowską. Mogiły kryje las znajdujący się na podmokłym terenie. Jest ich 8—12, jak szacują odkrywcy. We wrześniu 1990 r. grupa dawnych mieszkańców Stanisławowa, kierowana przez ks. kanonika katedry wrocławskiej Stefana Helowicza, złożyła tam pierwszy publiczny hołd ofiarom brunatnego barbarzyństwa.

Stanisławowski Czarny Las, bo tak nazywa się teren egzekucji, przeszedł do historii polskiej martyrologii.

Lwów — kolebką harcerstwa

Mineło 80 lat od chwili, gdy z początkiem stycznia 1911 r. członek grona nauczycielskiego lwowskiego Sokoła-Macierzy Czesław Pieniążkiewicz, uczestnik kursu wychowania fizycznego Związku Sokolego, organizowanego latem 1910 r. w Skole, zainspirowany przedstawionymi tam ideami skautingu, założył w lwowskiej bursie im. Tadeusza Kościuszki pierwszą drużynę skautową Sokoła-Macierzy. Bursa ta, znana raczej jako Bursa Boberskiej, mieściła się przy ul. Poniatowskiego, tuż przed wejściem na Targi Wschodnie, niedaleko od rotundy z Panoramą Raclawicką.

Drużyna ta, po formalnym powołaniu 22 V 1911 r. Komendy Skautowej przy Sokole-Macierzy, otrzymała oficjalną nazwę I Lwowskiej Drużyny Skautowej Sokoła-Macierzy im. Tadeusza Kościuszki. Mimo różnych kolei i zmian organizacyjnych przetrwała do 1939 r., a do dziś istnieje w pamięci swoich członków rozproszonych po całym świecie. W jej historii odbija się historia całego ruchu harcerskiego.

Leży przede mną opasła księga *Pamiętnik I Lwowskiej*, pisana kolejno przez młode ręce od stycznia 1911 do 1925 r. (tom drugi zaginął w czasie wojny). Księgę otwierają podpisy honorowych gości, m.in. zamaszysty podpis generała Hallera, prezydenta Wojciechowskiego, biskupów i innych.

Sięgnijmy do pierwszych kart księgi; w nich odbija się geneza ruchu harcerskiego i klimat tamtych dni. Lwów — konglomerat narodowości i wyznań — cieszący się w tych czasach względną swobodą polityczną i samorządnością, był równocześnie tygłem ścierających się poglądów. Z jednej strony polskość tego miasta, z drugiej — umiejętnie podsycany przez Austrię rodzący się ruch ukraiński, podkreślany dodatkowo przez odrębny kościół greckokatolicki. Polskie szkoły, uniwersytet, politechnika, język urzędowy i równocześnie cała dzielnica, gdzie niepodzielnie panował żargon. W tym tyglu narodowości i wyznań patriotyzm polski nabierał 'szczególnego znaczenia i wyrazu. Lwów był wówczas kolebką rozmaitych ruchów, o różnym zasięgu oddziaływania. Działały takie organizacje, jak: Sokół, Zarzewie, Eleuteria, Eleusis, Związek Walki Czynnej czy Związek Strzelecki. Każda z nich opierała się na podłożu patriotycznym, żadna nie była nastawiona specjalnie na młodzież. Stąd ruch skautowy, zainicjowany przez Sokoła, trafił na podatny grunt, ale i tu na samym początku uwidoczniły się kontrowersje.

Czytamy w *Pamiętniku* o wiosnie 1911 r.: „Czy naśladować skauting angielski, czy pójść własnymi drogami. — Wzór angielski? Dobrze, ale czyśmy go znali naprawdę? Z dołu od młodzieży szedł prąd inny niż angielski: młodzież żądała przygotowania wojskowego, w skautingu chciała widzieć pierwszą szkołę przygotowawczą na przyszłego żołnierza polskiego”. Do skautingu bowiem w większości wstępowała, jak notuje kronikarz: „młodzież, która należała do kółek samokształceniowych — a do skautingu wstąpiła na polecenie władzy, której podlegała”.

Skauting powstał w Sokole, ale na bazie sze-

rokiego porozumienia z innymi organizacjami. Stan ten jednak, w drużynie liczącej wówczas 76 członków, już jesienią 1911 r. doprowadził do kryzysu. Czytamy bowiem: „Drużyna składała się jakby z 3 odrębnych grup obojętnie względem siebie się zachowujących, dwie grupy składały się z młodzieży należącej do dwu odrębnych organizacji tajnych, politycznych, a zatem wrogich”.

Nie chcąc dopuścić do politycznych waśni, drużynowy wydał zakaz należenia do tajnych organizacji. Wskutek tego ok. 20 skautów opuściło drużynę. Do spraw tych pamiętnik więcej nie wraca.

W ten sposób ostatecznie krystalizuje się ruch o odrębnym charakterze łączącym angielski skauting z ideałami nurtującymi młodzież, ruch, który w przyszłości stał się harcerstwem polskim. Właściwa praca drużyny w tym czasie polegała na organizowaniu zbiórek, gawędach na ogólne tematy, np.: „O ekonomii społecznej”, „O starożytnościach słowiańskich”, czy gawędach na temat historii Polski, na ćwiczeniach gimnastycznych w Sokole oraz na cieszących się największą popularnością niedzielnych ćwiczeniach polowych obejmujących oprócz topografii najrozmaitsze gry i zabawy skautowe. Skauci brali również wraz z Sokolem udział we wszystkich obchodach rocznic narodowych.

Oficjalne powstanie ruchu skautowego łączy się niewątpliwie z powołaniem przy Sokole-Macierzy Komendy Skautowej. 22 V 1911 r. we Lwowie powstały drużyny — 3 męskie i 1 żeńska. Dla ruchu skautowego nie bez znaczenia była decyzja prezesa Sokoła, Fischera — podjęta na zjeździe Polskich Gimnastycznych Towarzystw Sokolich w październiku tego roku — o przystąpieniu do organizowania drużyn skautowych przez wszystkie gniazda Sokoła. Ruch skautowy uzyskał znakomite wsparcie i rozszerzał się błyskawicznie na te obszary, gdzie istniała już wieloletnia tradycja organizacji sokolich. Pod koniec 1911 r. we Lwowie istniało już kilkanaście drużyn.

Rok 1914 wprowadził zasadniczy wstrząs w życie drużyny. Wybuch wojny zastał drużynę wracającą z wyprawy w Tatry w Kuźnicach. Kronikarz odnotowuje to lakonicznie: „w ciągu tygodnia wszyscy byliśmy w Legionach”. Oczywiście w tym Wschodnim. To spowodowało, że zmienił się całkowicie skład drużyny. Odeszli ci starsi, pozostają najmłodsi. Okupacja Lwowa przez Rosjan w latach 1914—1915 przerwała wszelkie działania drużyny, ale po ich ustąpieniu drużyna natychmiast odżyła. Rozpoczęła się normalna praca: zbiórki, ćwiczenia, nawet obozy. Z tego czasu zachowały się „Księgi rozkazów” obejmujące lata 1915—1919. Dzięki nim można odtworzyć składy zastępów, nazwiska zastępowych, przybocznych, drużynowych.

Nadeszła pamiętna noc z 31 X na 1 XI 1918 roku. Skauci biorą gremialnie udział w obronie Lwowa, jednak rozproszeni w tych ośrodkach, do których udało im się dotrzeć. W księdze pamiętkowej odnotowano: „Z drużyny I brało udział w

walce o Lwi gród bezpośrednio z bronią w ręku 3/4 drużyny, a reszta pełniła służbę jako łącznicy, gońcy itp."

Udział w walkach przyniósł ofiary. Giną druhowie I Lwowskiej: Kinałski i Podhrebelny, Rajewski i Kornella, Paygert i Terlikowski. Listę zamyka Mikołaj Wójtowicz, drużynowy, który padł już 24 IV 1919 pod Hrubusną koło Złoczowa w czasie drugiej fazy walk o oswobodzenie Lwowa i Małopolski.

Rok względnego spokoju przywraca normalny tok prac w drużynie, ale nie na długo. Przygotowania do wyjazdu na Jamboree w Anglii przerywa znowu wojna zagrażająca Lwowowi. Druhowie z I Lwowskiej w ramach harcerskiej kompanii tworzą kompanię karabinów maszynowych. Biorą udział w walkach na przedpolu Lwowa, biją się pod Zadwórzem — polskimi Termopilami. Tam ginie Piątkiewicz, uczeń V klasy szkoły realnej — ostatnia ofiara I Lwowskiej w tej wojnie.

Nadszedł czas pokoju. Drużyna po formalnej reorganizacji już jako drużyna harcerska znalazła oparcie w VIII Gimnazjum. Tam, na ul. Dwerneckiego, w harcówce koncentrowała się jej działalność. Toczyło się normalne intensywne życie harcerskie: obozy, zloty, udział w obchodach, ćwiczenia polowe, systematyczne zbiórki. Stopniowo rosły zasoby drużyny, wyposażenie w namioty, sprzęt. W latach trzydziestych organizowano nawet wyprawy zagraniczne — do Rumunii, do Niemiec.

Przyszedł rok 1939. Ostatni obóz wypadł w lipcu w Gorganach, w Myczyszczu, u stóp pasma Arszycy, a już 25 VIII w trybie alarmowym zostaliśmy wezwani do 40 pp, gdzie na ul. Piotra, zaopatrzeni w maski przeciwgazowe i odpowiednie dokumenty, zostaliśmy skierowani na wieżę wodną na Nowym Lwowie, stanowiącą przeciwlotniczy punkt obserwacyjny. 13 IX dodatkowo objęliśmy obowiązki obserwatorów artyleryjskich baterii połówek „Wanda” z ul. Snopkowskiej. Pełniliśmy służbę aż do kapitulacji 22 IX, uhono-

rowani na ostatek strzałami w naszą wieżę z działek wjeżdżających czołgów sowieckich.

Taki był epilog zorganizowanego działania Lwowskiej Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki. Nadeszły czasy przeróżnych okupacji. Drużyny już nie stało, ale zostali wychowani przez nią druhowie. Los ich rozrzucił po świecie — pierwsza fala odpłynęła przez Rumunię i Węgry, następna przez Sybir, Kazachstan, inną rozproszyła po kraju. Uczenie się walki było celem naczelnym. Druhowie weszli do przeróżnych organizacji i komórek, aby ostatecznie spotkać się w AK.

Wielu w tej służbie straciło życie. Czy w partyzantce w górach, jak Roman Winkler, czy w przeróżnych więzieniach, czy w Warszawie, jak wywodzący się z I Lwowskiej Maciek Bittner i tylu, tylu innych. W ostatnim akordzie polskość we Lwowie w lipcu 1944, w akcji „Burza”, też brali udział w szeregach AK ci z I Lwowskiej. Tak się dopełnił los tej drużyny — pierwszej w Polsce, wyrosłej we Lwowie. Potem już tylko ewakuacja, rozproszenie po Polsce, zapuszczanie korzeni w nowych miejscach — czas budowania nowego życia, trudu. Ta drużyna, mimo iż nie miała szans na odrodzenie, nie zniknęła — została w pamięci tych, którzy kiedykolwiek się o nią otarli.

W 1976 r. druh Józef Dobiecki, przyboczny z 1917 r., późniejszy drużynowy, przystąpił do zorganizowania Kręgu b. Skautów Harcerzy Lwowskiej. Zjawili się ci najstarsi, najbardziej zasłużeni: Tadeusz Köhler, Franciszek Morawski. Po nich zwołali się inni. Rozpoczęły się coroczne zjazdy; w 1990 r. odbył się już 13. Dzięki nim udało się zgromadzić tyle pamiątek po tej drużynie. To druh Morawski uratował i przywiózł *Pamiętnik I Lwowskiej*. To dzięki niemu i innym została utrwalona część historii Harcerstwa Polskiego na przykładzie najstarszej z drużyn — I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Wrocław, w lutym 1991 r.

KORESPONDENCJA

Otrzymujemy również listy dotyczące społeczności polskiej na Litwie:

LIST OTWARTY

Nowa Sól 1991 06 17

Jerzy i Wojciech Jachimowicz
67-100 Nowa Sól
Os. Konstytucji 3-go Maja 9B/40

Szanowny Pan Minister Kultury
i Sztuki Litwy
w Wilnie

Idąc za związkami emocjonalnymi, postanowiliśmy przeprowadzić na nasz koszt odbudowę bądź remont generalny organów w jednym z kościołów na Litwie. Propozycję naszą przekazaliśmy organizacjom polonijnym na Litwie. List z tą ofertą opublikowaliśmy w „Magazynie Wileńskim” nr 8 z 1990 roku. Odzew nadszedł po pewnym

czasie i otrzymaliśmy stosowne dokumenty, po czym udaliśmy się w październiku 1990 roku do Wilna do kościoła p.w. Św. Piotra i Pawła. Wizyta nasza trwała trzy dni i w tym czasie zabytkowy instrument chylący się ku ruinie został obejrzany, dokonaliśmy jego oceny użytkowej oraz określiliśmy zakres wymaganych prac organizmistrzowskich. Po obejrzeniu instrumentu podtrzymaliśmy naszą decyzję o przeprowadzeniu remontu.

Do chwili obecnej brak jest jakiegokolwiek odzewu z strony zainteresowanych naszą propozycją.

Uważamy, że ratowanie tak znakomitego obiektu jest koniecznością, szczególnie w sytuacji, kiedy nadała się niepowtarzalna okazja dokonania tego przedsięwzięcia.

Chorzów 20.07.9

Truskawiec i inne — o uzdrowiskach w Małopolsce Wschodniej

Do rozlicznych walorów Małopolski Wschodniej zaliczyć trzeba i ten, że była ta kraina wspaniałym „zagłębieniem” leczniczo-rekreacyjnym, szybko rozwijającym się od początku XIX w. To znaczy od czasu, gdy w całej Europie funkcja świadomej i zorganizowanej regeneracji zdrowia oraz sił fizycznych i duchowych poprzez kontakt z przyrodą stała się jednym z ważnych osiągnięć cywilizacyjnych ówczesnych społeczeństw, zmierzających szybko ku nowoczesności. Polska — mimo niewoli — nie została w tyle. Rozwój uzdrowisk poprzedziło, tak jak w całej kulturalnej Europie, kilka wieków bardziej lub mniej świadomego korzystania ze szczególnych czynników naturalnych, jakimi są wody mineralne lub walory klimatu. Mamy w dorobku naszej kultury kilka wzmianek o korzystaniu z leczniczych właściwości wód mineralnych już w średniowieczu (Judyta, żona Władysława Hermana, leczyła się u źródeł siarczanych w Inowłodzu nad Pilicą), ale dopiero wiek XVI — wiek rozwoju nauk przyrodniczych, w tym i medycznych — przyniósł szersze zainteresowanie zdrojami leczniczymi. Wojciech Oczko, wybitny lekarz polskiego renesansu, wymienia w swych dziełach (ok. 1580 r.) sześć zdrojowisk cieszących się w owym czasie wielką frekwencją, spośród których — uwaga! — aż połowa leży na obszarze Małopolski Wschodniej. Były to: Drużbaki (na polskim wówczas Spiszu), Iwonicz, Szkło, Lubień, Mikulińce i Swoszowice. Następne stulecie, a szczególnie wiek XIX, dodały do tych trzech wiele następnych zdrojowisk, stacji klimatycznych, kąpielisk, ośrodków turystyki i sportów, przede wszystkim narciarstwa.

Nie ma więc przesady w stwierdzeniu, że Małopolska Wschodnia to wielkie zagłębienie leczniczo-rekreacyjne Polski do II wojny światowej. Tworzył je cały zespół bogactw pod- i naziemnych, szczególnie i obficie się tu uzupełniających:

- 1) wspomniane już wody lecznicze, nie ustępujące najbardziej renomowanym wodom w zdrojowiskach Europy Zachodniej i Południowej,
- 2) wspaniałe i rozległe masywy górskie (wschodnie Bieszczady, Gorgany i Czarnohora),
- 3) liczne i piękne rzeki, z Dniestrem i Prutem na czele,
- 4) ogromne lasy, o skali nie spotykanej w innych regionach Polski,
- 5) szczególne zalety klimatu (wysoka temperatura, duże nasłonecznienie, górskie powietrze),
- 6) bogactwo upraw owoców i warzyw stosowanych do celów kuracyjnych,
- 7) malownicze krajobrazy wzgórz (Gołogóry, Woroniaki, Miodobory, Podkarpacie), dolin i jarów, a wreszcie:

8) za bytki wielu wieków polskiej historii świadczących o przynależności tej ziemi do kręgu kultury zachodniej.

Wypada wymienić jeszcze jeden istotny czynnik: dobrze rozwiniętą — jak na polskie warunki — sieć komunikacji, szczególnie kolejowej,

uzupełnionej setkami kilometrów leśnych kolejek wąskotorowych, dostępnych dla publiczności.

Niniejszy artykuł rozpoczyna cykl poświęcony tematowi uzdrowisk i rekreacji w Małopolsce Wschodniej, oczywiście przed II wojną światową, tzn. w czasach, gdy należały one do Polski, do polskiego życia społecznego, do polskiej kultury. Myślę, że warto o tym pomyśleć i porozmawiać, a może i uzupełnić wspomnieniami Czytelników? Redakcja czeka na listy.

A jak jest dzisiaj? No cóż, komunistyczna gigantomania połączona z niefrasobliwością uczyniła z uzdrowiskami to, co i po tej stronie kondonu, tylko w skali odpowiednio spotęgowanej: rozbudowa do granic szaleństwa, rabunkowa gospodarka bogactwami naturalnymi, zaprzepaszczenie tego, co małe i piękne. Klasycznym przykładem może być Truskawiec: kilkanaście sanatoriów-molochów, łazienki z kolumnadami jak parlament, w pijalni „Naftusi” kilkaset kurków, tłumy rozdeptujące deptak, pociągi bezpośrednio z Moskwy i Leningradu.

Warto przypomnieć jeszcze jedno: w XIX i XX w. Lwów spełniał wybitną rolę w rozwoju zdrojownictwa polskiego. Lwowianin Torosiewicz jako pierwszy (1833—43) dokonywał fachowo szczegółowych analiz wód leczniczych. Na podstawie jego badań otwierano nowe zdrojowiska oraz opracowywano wskazania lecznicze dla starych i nowych zdrojów. Józef Dietl, nazywany „ojcem zdrojownictwa polskiego”, odkrywca walorów m.in. Krynicy, był profesorem Uniwersytetu Krakowskiego, ale przecież coś w nim było z Galicji Wschodniej: urodził się w Podbużu między Samborem i Drohobyczem.

W XX wieku staje się Lwów mózgiem i sercem naszego zdrojownictwa. W 1910 r. zorganizowano tu staraniem Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego I Krajowy Zjazd Przemysłowo-Balneologiczny, powołując do życia Krajowy Związek Zdrojowisk i Uzdrowisk. Animatorami tego zjazdu byli: dr Julian Bandrowski, redaktor wychodzącego we Lwowie czasopisma „Nasze Zdroje”, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Ludomił Korczyński, podobnie jak Dietl pochodzący z Galicji Wschodniej, oraz ówczesny docent, później profesor UJK Antoni Sabatowski. Ci dwaj ostatni byli czołowymi autorytetami naukowymi w zakresie balneoterapii w międzywojennym dwudziestym wieku (prof. Sabatowski pracował czynnie jeszcze po II wojnie światowej).

Lokal KZZU mieścił się we Lwowie przy ul. 3 Maja 2, później przy ul. Romanowicza 9, gdzie była też czynna wzorcowa składnica krajowych wód mineralnych i biuro informacyjne. W 1912 r. wydał Związek Przewodnik po zdrojowiskach i miejscowościach klimatycznych Galicji pióra Lewickiego, Orłowicza i Praschila, a w 1913 r. utworzył Galicyjski Zakład Kredytowy dla Zdrojowisk i Uzdrowisk. Zaraz po I wojnie wydano pionierski przewodnik po uzdrowiskach całej Pol-

ski pt. *Nasze Zdroje*, opracowany przez Sabatowskiego.

Niestety, choroba centralizacji dała o sobie znać już u zarania niepodległości. W 1925 r. Związek przeniesiony został do Warszawy, a nazwa zmieniona na Związek Uzdrawisk Polskich. Wieloletnim prezesem ZUP w latach międzywojennych

był Rajmund Jarosz, właściciel Truskawca, a członkami zarządu m.in. baron Adolf Brunicki — właściciel Lubienia Wielkiego i Józef Krzyżanowski — starosta zaleszczycki.

W następnym numerze przypomnimy „królową” uzdrawisk wschodniomałopolskich i „wicekrólową” wszystkich polskich uzdrawisk — Truskawiec.

LITERATURA

EDWARD PRUS

Iwan Franko — przyjaciel czy wróg Polaków?

„Są pisarze — pisał Iwan Franko w przeznaczonym dla polskiego czytelnika szkicu *Nieco o samym sobie* — których życiorys jest bardziej zajmujący niż ich utwory, których utwory są tylko przyczynkami do ich charakterystyki, częstkami ich życiorysu [...]. To koryfeusze literatury, twórcy nowych kierunków. Można ich nazwać wykładnikami czasów, w których żyli [...]. Za szczupłym gronem tych olbrzymów — kontynuuje Franko — kroczy ogromna rzesza pisarzy-robotników i rzemieślników, mniej lub więcej utalentowanych, mniej lub więcej pracowitych, wpływowych, poczytnych i zasłużonych, lecz nie dorastających do miary owych olbrzymów”.

W poczuciu skromności Franko skłonny był zaliczyć siebie do tej drugiej grupy. Tymczasem w rzeczywistości był on największym i najwszechstronniejszym po Tarasie Szewczenko klasykiem ukraińskiej literatury i tak jak ów „prorok znad Dniepru” pochodził z gminu. Urodził się w cieniu kuźni jako syn wiejskiego kowala i zubożałej szlachcianki. Miało to miejsce w 1856 r. w Nahajewicach koło Borysławia. „Na dnie moich wspomnień, gdzieś tam w najgłębszym zakątku płonie ogień. Niewielki, niezbyt jaskrawy, ale mocny płomień oświetla pierwsze kontury wyłaniające się z mroku dziecięcej duszy. To ognisko kuźni mojego ojca” — pisał po latach w jednym ze szkiców autobiograficznych.

Do gimnazjum chodził przysły poeta w Drohobycz (uczył się po polsku i po niemiecku), uniwersytet (wydział filologiczny) kończył we Lwowie, doktoryzował się w Wiedniu, a habilitował we Lwowie. Jako uczeń gimnazjalny tłumaczył, *Pismo Święte*, *Nibelungi*, *Homera*, *Sofoklesa*, później coraz bardziej wzbogacał piśmiennictwo ojcyste, przyswajając mu arcydzieła poezji obcych narodów.

Franko miał ambicje naukowe, posiadał dużą wiedzę, odpowiednie kwalifikacje i talent, ale katedry ze względów politycznych nie otrzymał. Rząd austriacki nie zapomniał mu trzykrotnego aresztowania i przebywania przez długi czas pod nadzorem policyjnym. Oskarżono go (w pierwszym procesie) o współudział w „zakładaniu tajnej organizacji”; na ławie oskarżonych zasiadł z Polakami: Edmundem Brzezińskim i Bolesławem Limanowskim. Po wyjściu z więzienia w Kołomyi przymierał głodem, przez dwa lata orał własne dwie morgi pola. Podżwignięcie z „dna”

zawdzięcza polskim przyjaciołom: Janowi Kasprowiczowi, Henrykowi Rewakowiczowi i Bolesławowi Wysłouchowi, którzy zaczęli redagować „Kuriera Lwowskiego”. W gazecie tej Franko przepracował dziesięć lat. „Zajmowałem się [w redakcji] sprawami organizacji polskich elementów postępowych — pisał później — mogących iść ręką w rękę z organizacjami rusińskimi. Później pomagałem też przy organizacji polskiej partii chłopskiej »Stronnictwa Ludowego«, którego twórcą był Wysłouch”.

Pełnych temperamentu i pasji polemicznych artykułów i prac Franki nie przeoczy się, gdy od 1879 r. wertuje się stronic „Prawdy” A. Świętochowskiego, „Głosu”, „Tygodnia”, „Przeglądu Tygodniowego”, „Ateneum”, petersburskiego „Kraju”, „Kuriera Lwowskiego” oraz licznych polskich organów naukowych z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Franko napisał po polsku i ogłosił drukiem dziesięć utworów artystycznych. Działalność jego na polskiej niwie literackiej i publicystycznej stanowi jedną z najpiękniejszych kart historii przyjaźni Polaków i Ukraińców. Dodać należy, że pierwsze swoje utwory Franko drukował wyłącznie po polsku i w polskich pismach. Wszystkie utwory pisane pierwotnie po polsku Franko ogłaszał później w języku ukraińskim.

Franko utrzymywał kontakt listowny niemal z całym ówczesnym polskim intelektualnym światem: Elizą Orzeszkową, Marią Konopnicką, Gabriellą Zapolską, Henrykiem Sienkiewiczem, Bolesławem Prusem, a także Stanisławem Wyspiańskim. We wstępie do szkiców *Ruteńcy. Typy i portrety galicyjskich ludzi* (drukowanych w 1878 r. po polsku na łamach „Tygodnika Literackiego, Artystycznego, Naukowego i Społecznego”) wymienione osoby nazwał elitą narodu polskiego, którą kocha i podziwia. W tym też samym miejscu podkreślał, że nie lubi „naszej Rusi” — bo za co ma ją miłować: za analfabetyzm, nędzę, ciemnotę, brud... Odwdzięczając się mu E. Orzeszkowa pisała w liście do poety: „Poznałam już w Was wysoce utalentowanego i sympatycznego pisarza; nie wątpię, że okażecie się mnie współczującym i dobrym człowiekiem, towarzyszem po myśli i piórze”. „Powieści Wasze — pisała Orzeszkowa w innym miejscu — natchnęły mię ku Wam ufnością i sympatią”.

Iwan Franko pierwszy w dziejach polskiej krytyki literackiej tak dosadnie zwrócił uwagę na

problemy włościańskie w twórczości M. Konopnickiej. Uważał, że nikt przed nią nie zajął się zagadnieniem wsi z taką siłą i wyrazistością kolorytu, jak to uczyniła właśnie autorka *Roty*.

Lata 1887—1897 były okresem intensywnej działalności literackiej Franki. Powstały wówczas nowele (w tym gatunku Franko był arcy mistrzem) i opowiadania: *W pogoni za biedą*, *Obrazki galicyjskie*, *Cyganie*, *Jak Rusin tłukł się po tamtym świecie*, *Jać Zelepucha*, *Chawa*, *Manipulantka*, *Pierogi z czernicami*, *Bohater mimo woli*, *Dobry zarobek*, *Swińska konstytucja* i wiele innych. Niektóre z tych utworów Franko napisał po polsku bądź ogłosił w przekładzie na język polski.

W tym też czasie powstały znane powieści społeczne Franki: pisane po polsku *Lelum i Polelum*, *Filary społeczeństwa*, *Borysław się śmieje* i *Dla domowego ogniska*. Pierwszą z nich pisał na konkurs powieściowy „Kuriera Warszawskiego”.

Następca Szewczenki wiele razy bezskutecznie starał się o katedrę we Lwowie — i chociaż miał już europejską sławę, a utwory jego były przekładane na rozmaite języki, chociaż wielorakie instytucje naukowe mianowały go swoim członkiem, to jednak administracja austriacka nie zapominała mu przeszłości, zwłaszcza że przypominali jej o tym jego rodacy, a nie Polacy — jak to pisał już ktoś we Lwowie. Oto słowa Franki: „Mojej habilitacji na docenta literatury ruskiej ministerstwo nie zatwierdziło... Mam to do zawdzięczenia niewątpliwie... głównie Barwińskiemu [Aleksandrowi] i Wachnianynowi, którzy oczernili mnie na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby, aby tylko nie dopuścić do katedry i zrobić miejsce dla Studyńskiego”. Studyński, dodajmy, był zięciem Wachnianyna.

Filolog, historyk, etnolog, socjolog, historyk i

Zamówione - 19 - IV. 1926.

Niełmożny. Panie Redaktorze!
List ten dyktuję, bo sam, od dwóch
prami lat ciężko leżę chory, pisać nie
mogę.
Z Francim Frankiem poznałem mnie
stosunki przyjacielskie; kolegowałismy
z sobą w Redakcji „Kurjera Lwowskiego”;
trzymałem mu do chrztu syna Andrzeja,
jędrzącam z nim na ryby, odwiedziłem
jego nieśrodkową - nadkujonice - w
Drohobyczkiem; jemu żałuję, że nie
znamie się z poezją ukraińską, którą

Fragment listu Jana Kasprowicza do redaktora jednego z pism.

metodolog literatury, krytyk, polemista, felietonista, eseista był Franko wszystkim, lecz przede wszystkim poetą, „jakiego Opatrzność zsyła narodowi raz na sto lat” — pisał o nim inny poeta, Bohdan Łepkyj. I ten gigant w drodze do uniwersyteckiej katedry przegrywa z jakimś Studyńskim! Poetą narodowym uczynił Frankę *Mojżesz* — „nie ten biblijny, na gruntownych studiach historyczno-teologicznych oparty — jak zauważa Łepkyj — lecz *Mojżesz* Franki”. *Mojżesz* to „poemat, który mogłoby być ozdobą każdej, nawet najbogatszej literatury”.

Franko był też społecznikiem i rzecznikiem polsko-ukraińskiego zbliżenia. „Jako chłop z pochodzenia i sympatii — pisał po polsku — jako radykał, postępowiec z przekonań, jestem tego niezlomnego przeświadczenia, że nam Rusinom, jak i Polakom [...] nie pozostaje inna droga ratunku, jak podnieść masy ludowe do świadomości narodowej i obywatelskiej [...], a więc do walki o nieprzedawnione nigdy prawa ludzkie, polityczne i narodowe”.

W 1886 r. w numerze mickiewiczowskim *pettersburskiego „Kraju”*, w artykule zatytułowanym *Adam Mickiewicz w rusińskiej literaturze*, Franko wykazał ogromne znaczenie polskiego poety dla rozwoju literatury ukraińskiej, w szczególności dla Szewczenki. „Zdaniem moim — pisał wówczas — wpływ Mickiewicza w rusińskiej literaturze obecnie nie tylko nie może być uważany za skończony, lecz przeciwnie, z silniejszym i szerszym rozwojem tej literatury rozwiną się dopiero w całej pełni te ziarna, które geniusz litewskiego wieszczka zasiał w licznych pokoleniach rusińskiego narodu”.

W pewnym momencie „coś zgrzytnęło”, popsuło się w stosunkach Franki z Polakami — i trudno dociec z czyjej winy. Czasami wini się za to Tadeusza Romanowicza, redaktora „Nowej Reformy”. Polacy długo nie mogli mu darować wręcz zaskakującego artykułu o Mickiewiczu. W 1897 r. Franko napisał i opublikował w Wiedniu artykuł *Poeta zdrady*, w którym ukazał Mickiewicza w bardzo złym świetle. Artykuł był z gruntu błędny, ukraiński poeta żałował tego swego wystąpienia do końca życia. Sam bowiem wychował się na poezji Mickiewicza i czuł, jak wiele mu zawdzięcza.

Po tym niefortunnym artykule posypały się pod adresem Franki — uzasadnione i nieuzasadnione — zarzuty. Uznano go nawet za „niewdzięcznika”, bo nie było tajemnicą ile ukraiński poeta zawdzięcza polskim przyjaciółom. Polacy, właśnie ci, którzy zawsze mu sprzyjali i pomagali, i tym razem wykazali wiele zrozumienia. „Rusinem będąc — czytamy i France w liście otwartym studentów polskich Uniwersytetu Lwowskiego — zawsze i wszędzie podawał nam szczerą dłoń do bratniej zgody i współpracy”.

I jak każdy wielki człowiek Franko wiele pracował. Gdy od 1908 r. nie mógł już utrzymać pióra w ręce, dyktował jeszcze utwory. Zebrało się tego aż 70 tomów. Syn kowala... w jego utworach długo brzmiało jakby echo uderzeń młota o kowadło. Zmarł 28 V 1916 r. we Lwowie, w drugim roku strasznej wojny. Spoczął „wielki kamieniarz” — jak o nim mówią Ukraińcy — na polskiej nekropolii narodowej — cmentarzu Łyczakowskim.

EMILIA KIERYCZ PREIDLÓWA

Na Lewandówce

Na Lewandówce w cichym ustroniu
W spokojnym domku pod laskiem tuż
Tam twa kryjówka była Białoniu
Nabył browning twój anioł stróż.

Urodziłam się we Lwowie przy ul. Piekarskiej pod trzecim numerem. W tej kamienicy mieściło się biuro Związku Urzędników Prywatnych. Tam pracował mój ojciec i tam mieszkaliśmy. Opowiadała mi mama, że trzy godziny stała z moją starszą siostrą przed bramą „naszej” kamienicy, gdy w 1910 r. przechodził kondukt pogrzebowy Marii Konopnickiej. Ponieważ nasza rodzina powiększyła się, a mieszkanie było małe, rodzice skorzystali z propozycji p. Białkowskiego. Kupił on wiele parcel na peryferiach Lwowa i tam budował domki, które można było nabyć na spłaty. Taką właśnie domek z ogródkiem nabyli moi rodzice na Lewandówce. Była to rozbudowująca się dzielnica Lwowa za Dworcem Głównym między Łaskiem Janowskim a wsią Biłohorszczem. To było dawno: rok 1916/17. Dopiero zaczynały powstawać ulice.

W moich zamglonych wspomnieniach, w najdalszych tajnikach pamięci widzę taki obrazek: Siedzę na schodkach naszego domu, wokoło ogrody, świeci księżyc, późne lato. Moje starsze rodzeństwo cudownie się bawi w „żandarma i zbója”, razem z innymi dziećmi gonią po wszystkich wokoło ogródkach. Był to czas wojny, ojcowie na frontach, wszystkie parkany zużyte na opał. Więc hulaj dusza! Mateczka jeszcze rano zapakowała bieliznę pościelową, parę pięknych filizanek i innych garnków i wraz z sąsiadką powędrowały na wieś, by wymienić to na żywność dla nas.

Obudziłam się w ramionach mamy, która rozłożyła przyniesione dary na stole, karmiąc nas zgłodniałych chlebem z masłem i serem, przy okazji solidnie łąjąc moje starsze rodzeństwo (8 i 6 lat) za brak opieki nad domem i czteroletnią siostrą.

Wtedy tak żyli wszyscy obok nas. Ojcowie gdzieś w świecie walczyli, a matki musiały radzić sobie same. Czasem jedna z matek zostawała i opiekowała się dziećmi innych, które powędrowały w poszukiwaniu żywności lub opału. Pracę trudno było otrzymać, zresztą na czyjej opiece zostawić dziecięta, a tu w każdym prawie domu po 3 lub 4 dzieci. Dzieci na ogół bardzo się cieszyły z takiego życia. My maluchy, nie zdając sobie sprawy z sytuacji, tylko myśleliśmy o zabawie.

Pamiętam obronę Lwowa, jak siedzieliśmy po ciemku na podłodze, ponieważ strzelali z lotniska. Pamiętam jak Mateczka tłumaczyła przez zamknięte drzwi Ukraińcowi, że tu nie ma żołnierzy, a tylko sama z dziećmi. Było ciężko i głodno. W tym czasie ludzie sobie bardzo pomagali, dzielili się tą przysłowiową kromką chleba. Nie zapomnę pani Hellerowej, zwanej przez nas „Pańciunią”. Nie miała dzieci, mąż jej był w wojsku w zaopatrzaniu i dobrze im się powodziło, więc ta zacna kobieta dzieliła się ze wszystkimi potrzebującymi. Zawsze coś smacznego przyniosła, zawsze pełna uśmiechu i serdeczności.

Bezpośrednio po walkach o Lwów wybuchła na Lewandówce epidemia tyfusu. Na naszej ulicy zachorowali państwo Mogalińscy i ich sześćoro dzieci. Opiekę nad tą rodziną roztoczyli sąsiedzi. Z wielkim poświęceniem opiekowały się chorymi pani Hellerowa i moja mama. Niestety, tylko dwoje dzieci się uratowało, a obie opiekunki też ciężko się rozchorowały. Potem wrócił ojciec z frontu z Albanii. Skończyła się wojna i zaczęło normalne życie. Na Lewandówce szkoły nie było, więc chodziliśmy daleko do szkoły kolejowej przy al. Focha. Ciężko było w zimie, bo droga daleka i duże śniegi. Chodziłam z rodzeństwem, a mama często nas odprowadzała.

Tymczasem w naszej kochanej dzielnicy zaczęło się organizować życie społeczne. Otrzymaliśmy księdza Jana Pokrywkę, zaczęto organizować Towarzystwo Szkoły Ludowej. Ludzie zaczęli składać na kościół i szkołę. Wielkim wysiłkiem ze składek powstała piękna, murowana, piętrowa szkoła. Zaczynało się polepszać w Polsce życie, zaczęto budować piękne domy, coraz więcej przybywało ludzi. Wybudowano na razie skromny drewniany kościółek wraz z murowaną plebanią. Zbudowano drugą, nową dużą szkołę. Szkoły te stoją do dziś, tylko kościółek został rozebrany. Część mieszkańców stanowili Rusini-Ukraińcy, więc oni zbudowali swoją piękną cerkiew murowaną przy ul. 3 Maja, czynną do dziś.

W tych dawnych dniach, gdy jeszcze nie było elektryczności, mieszkańcy organizowali się, kwitło życie kulturalno-społeczne. Istniało koło TSL, obchodzono wszystkie uroczystości państwowe, m.in. 22 listopada Obronę Lwowa. Wtedy odbywały się akademie, deklamowano wspaniałe patriotyczne wiersze. Ja deklamowałam *Trzeci Maj* Konopnickiej. Akademia była na boisku szkolnym. Mnie postawiono na beczkach po piwie, na prowizorycznej estradzie. Miałam piękną aksamitną sukienkę z aksamitnym kołnierzem, i gdy mówiłam: „O ty orle, ty nasz orle biały, na dalekie leć niwy i pola, mów tym sercom, co we łzach omdlały, że się skończyła wiekowa niedola” — wysoko podniosłam ręce i o mało nie spadłam z beczki. Podtrzymano mnie. Pamiętam też, że gdy w starej czytelni na górnej Lewandówce był oplatek, chodziłam do czwartej klasy, a dzieci ze szkoły miały uświetnić tę uroczystość. Pan nauczyciel Cichocki dał mnie i mojej koleżance Stasi Zawadzkiej do recytowania prozę: „Na Sybir iść musiały...” To było tak piękne i rzewne w swej treści, nie wiem kto był autorem. Nigdy nie zapomniałam serdecznego płaczu księdza Sigmunda, proboszcza z kościoła Św. Elżbiety. To było wielkie przeżycie, a chwile niewoli tak niedalekie, że wzbudzały w obecnych wspomnienia własnych przeżyć. Istniało też autorskie kółko artystyczne. Graliśmy jasełka — piękne teksty, bardzo patriotyczne, choćby ta wprowadzająca pieśń:

Oj wierzbino nad wodami, naszych łąk i pól
Cichą pieśnią śpiewającą, nasze łzy i ból
Polska piosenka płynie w światy, budź polski lud
Szumem swoim wionie w chaty zmartwychwstania cud.
Występowała nie tylko młodzież i dzieci, ale i starsi.

Pamiętam doskonałą rolę Heroda, którą grał niezastąpiony pan Burger, zaś rolę króla pasterzy Janek Dubik. Wszyscy grali dobrze, a jak się starali! Podczas przedstawienia przygrywał amatorski zespół mandolinistów „Aria” pod przewodnictwem pana Mariana Długosza, który mistrzowsko grał na skrzypcach, akompaniując śpiewającym. Jasełka były wielkim przeżyciem dla całej Lewandówki, wszyscy brali w tym udział.

Musieliśmy się trzymać, bo to był świeży okres po Obronie Lwowa, a na Lewandówce mieszkała duża grupa Rusinów-Ukraińców, którzy też się organizowali. Mie-li za fosą na ul. Szerokiej swój dom „Proświta”. Tam też urządzali różnego rodzaju imprezy, tańce i zabawy. Moja przyjaciółka Stefa Bergtraum ciągnęła mnie tam. Nauczyłam się tańców: kozaka, kołomyjkę i wiele in-nych. Nieraz chodziłam tam ze Stefą popisywać się. Cho-dziłam też i do cerkwi na wielkie uroczystości świątecz-ne. Starali się oni nas Polaków przyciągnąć, a nawet nas honorowano, np. pozwolono mi trzymać chorągiew w cerkwi. Bardzo przyjaźniłyśmy się ze Stefą, choć nie raz, nie dwa krzyczałyśmy do siebie, ja: „Lwów zawsze polski”, ona — odwrotnie. Ile razy mówiła mi: „Wy zo-stawicie Lwów i pójdziecie za San”. Z bezsilności pla-

Na Nowy Rok prócz indywidualnych chłopców z win-szowaniem całe grupy chodziły z „banią” i śpiewały:

Przyszliśmy tu chwalić Panie Jezu Chryste, słodkiego, słodkiego

I powinszować i pokoleďować szczęśliwego Roku Nowego

Aby pan Gospodarz z panią Gospodynią sto lat żył, sto lat żył

I w dobrym zdrowiu w dobrym położeniu zawsze był. Obiecał nam Pan Bóg sto korca kartofli na polu, na polu

Ot daj że ci Boże, ot daj że ci Boże zdrowia szczęścia w tym domu.

Za tę kolęďę cośmy zakoleďowali, abyście państwo ochotę dostali

A za tę ochotę sto czterdzieści złotych, tym się pań-stwo nie wzbogaci

A za naszą kolęďę Chrystus Pan zapłaci.

Gdy właściciele nie reagowali i nic nie dawali, a ko-łednicy stali pod oknem na mrozie, to zniecierpliwieni wołali:

Mamy krótkie kożuszki pomarzę nam brzuszki

Mamy krótkie skarpytki, pomarzę nam łydki.



kałam, bo gdy biłyśmy się, to nasze mamy nas rozdzie-lały. Nasi Rusini-Ukraińcy starali się z nami współżyć. Gdy tylko mogli znaleźć w jakiejś rodzinie ślady rus-kiego pochodzenia, a większość rodzin była albo mie-szana, albo miała krewnych, to starali się wciągać do swego grona. W okresie świąt chodzili „szczedrować”, czyli koleďować. Bardzo ładnie śpiewali i nigdy nie opuścili naszego domu: „Szczedryj wieczyr, dobryj we-czyr, dobrym ludziom na zdarowłu. A ta krasna diuczy-nońka...” (wyliczano imię jednej z nas). Byliśmy bardzo zadowoleni.

A teraz jeszcze jedno miłe wspomnienie z naszych polskich świąt Bożego Narodzenia. Zaraz na pierwszy dzień chodzili koleďnicy z szopką i koleďowali, a inni przedstawiali jasełka z aniołami, diabłami i Herodem.

A gdy i te krzyki pieśni nie pomagały, zniechęceni koleďnicy złorzeczyli:

Ile domów na ulicy tyle łątek na spódnicy

Ile gontów na chałupie, tyle czyraków na d...

Różnie było z tymi koleďnikami. Chodzili chłopcy z porządnych domów, często uczniowie chcący zarobić na buty, bo czasy nie były dla wszystkich łatwe. Tych wpuszczano do domów, choć trzeba było po nich sprzą-tać, bo nanieśli śniegu i błota, ale była to wielka frajda dla dzieci. Koleďnicy wykonywali na długo przed świę-tami szopki, banie czy gwiazdy. Szopki były kryte dasz-kami z kłosek, banie i gwiazdy z bibulek lub koloro-wego papieru. Wewnątrz była świeczka i taką banią czy gwiazdę kręcił trzymający ją chłopak. Z szopką prze-ważnie odgrywali jasełka. Tych koleďników rodzice prze-

ważnie wpuszczali do domu. Zawsze poczęstowano ich herbatą i ciastem, prócz tego były dla nich przygotowane pieniądze. Ale byli też kołédnicy „batiary”, chuligani, jakby ich dziś nazwać. Ci też chodzili, lecz ich nie wpuszczano u nas do domu. Kołédowali w ogródku pod oknami. Otwieraliśmy im furtkę, bo inaczej by przeskoczyli przez parkan, a byli bardzo nachalni. Baliśmy się ich trochę. Tych też opłacano i częstowano ciastkami, lecz na podwórzu. U pani Półtorakowej wdarli się do domu i gdy jedni pięknie kołédowali, drudzy w tym czasie zjedli pełną rynkę gołąbków stojących na werandzie. W innym domu poczęstowali się wiszącą w szafce w sionce kiełbasą.

Dziś wspominam ze łzą w oku i bez złości tych naszych batiarów — Grzeszków, Antków, Franków, Solskich, Maców, Bartelottich, którzy w sumie wcale nie byli tak źli i zepsuci. To był swoisty styl bycia. Nigdy nie skrzywdzili naprawdę biednych i pokrzywdzonych, a głupim, skąpym i złośliwym dawali czasem dobrą nauczkę.

Na Lewandówce było dużo ulic; była rozległa Górna i Dolna Lewandówka. Nad fosą w środku placu stał nasz kościół. Tam rozchodziły się ulice na Górną Lewandówkę. Wzdłuż fosy biegła ul. Szeroka do lasu Biłohorskiego, Lotnicza w stronę Lotniska, a równoległa do ul. Szerokiej ul. 3 Maja znowu do lasu Biłohorskiego. Dziś już dobrze nie pamiętam nazw wszystkich ulic, wiem że bocznymi 3 Maja z prawej strony były: Czarneckiego, Żwirki i Wigury, Cmentarna, Polna, Potockiego, Zacisze i jeszcze jakieś aż do pół, których właściciele to przeważnie mieszkańcy wsi Biłohorszcze. Pod lasem mieszkali Niedźwiedzy. Ojciec pracował na kolei, lecz mieli duże gospodarstwo. Na Lewandówce niewielu było gospodarzy, którzy mieli krowy, o mleko było trudno, a dzieci trzeba było odżywić, więc nasze mateczki postanowiły kupić kozy. Łatwo je wyżywić, a dzieci miały zdrowy i dobry posiłek. Prawie w każdym domu na ul. Potockiego trzymano kozy. Pasało się je na Lotnisku. Były tam tylko samoloty ćwiczebne, latały nam nad głowami, a myśmy im powiewały chusteczkami. Dużo pilotów tych samolotów, młodzi i piękni chłopcy, mieszkali na Lewandówce. Niektórzy z nich pozakładali tu rodziny; niestety, krótko trwało szczęście. Samoloty bardzo często rozbiły się i coraz więcej przybywało śmigieł na wzgórzach pobliskiego cmentarza Janowskiego.

Na Błoniach parę lat później odbywały się w niedzielę wyścigi konne. Ile było radości i zabawy. Teren był olbrzymi i nie zagrodzony. Wraz z wyścigami przybywali preclarze, którzy sprzedawali wspaniałe precle i laski kręcone. Niestety, lotnisko przeniosło się do Skniłowa, wyścigi przeniesiono na specjalny tor na Persenkówkę, a mieszkańcy Lewandówki stracili okazję do zabawy. Lecz i na Lewandówce wiele się zmieniło, dzieci dorastały, wiele z nich kształciło się w uczelniach Lwo-

wa. Młodzież organizowała się też w „Strzelcu”. W szkole założono drużyny harcerskie, żeńską im. Marii Konopnickiej i męską.

Jeszcze parę słów chcę dodać o charakterze dawnej Lewandówki. Każdy domek był ogrodzony, z dość dużym ogródkiem. Długo nie mieliśmy światła elektrycznego. Jeszcze muszę wspomnieć te dawne czasy, te pełne śniegu ulice, gdyż zimy były bardzo ciężkie i często wyżej parkanów nawiało śniegu. Gdy byłam bardzo mała (6—7 lat) pamiętam ciemny ranek, lampa świeci się w kuchni, mateczka już urzęduje, a my śpimy. Nagle budzi nas charakterystyczny śpiewny głos: „Wiek Nowy, Wiek”. To pan Wagner roznosił tę miłą lwowską gazetę, a potem dalej godzinki śpiewał, by umilić sobie drogę. Ciemno, tylko poświst wiatru, i te piękne słowa modlitwy do Panienki rozchodziły się hen daleko. Jak mi dziś dziwnie miło, że mogę napisać. To był piękny świat lat dziecinnych. Była wolność, lecz trzeba było dużo pracować, by coraz lepiej żyć. Lewandówka została przyłączona do Wielkiego Lwowa. Zniknął „drewniany poli-cjant”, który bębniąc ogłaszał zarządzenia, zaprowadzono światło, wodę, zmieniano nazwę ulic.

Stosunkowo niedużo było u nas Żydów. Ledwie parę sklepów spożywczych: Szajninger, Botwin, Steinwurcel. Zaczęto organizować handel. Powstały kółka rolnicze i parę prywatnych sklepów katolickich. Był też „Masło-sojuz”, był sklep Brodzika, Reznika i filie Kółka Rolniczego. Lata miały, płynęło bujne życie. Przed młodzieżą zaczęły rysować się wspaniałe perspektywy na przyszłość. Powstał COP. Nawet bezrobotnym nie było tak ciężko. Zaczęła jednak zagrażać straszna z мора wojny. Bez entuzjazmu przyjęliśmy najazd na Zaozie; cieniem dla nas młodych była sprawa Litwy. My byliśmy wychowani w miłości do Ojczyzny i w głębokiej wierze, zdawaliśmy sobie sprawę z naszego położenia geopolitycznego. Nieraz słuchaliśmy pogadek w radiu na temat Rosji, a w pamięci rodziców jeszcze nie zatarła się nasza smutna wielowiekowa niedola. Już byliśmy dorosłymi ludźmi, już rozpoczynaliśmy własne życie. Wielu opuściło Lewandówkę, tylko z wizytami do rodziców przybywali. Słońce tak pięknie świeciło. Aż nagle stało się — Hitler napadł na naszą ziemię.

Jeszcze na Błoniach Janowskich zegnaliśmy 19 pułk piechoty, tak wiele sobie obiecywaliśmy. Chłopcy mówili, że przyniosą nam wasy Hitlera. Coraz ciemniej nad naszą ziemią, aż straszne bomby przyniosły śmierć i zniszczenie. Lewandówka w 39 roku niewiele ucierpiała. Przez ulicę 3 Maja maszerowało wojsko rosyjskie — straszne, nie kończące się szeregi. Ludzie w postrzępionych szynelach z karabinami na sznurkach. Takie dzikie, które nas rzekomo wyzwoliło. Wyzwoliło nas z wolności, radości życia, które zabrało nam młodość i to wszystko, cośmy kochali. Zabrali nam kochany nasz dom, Lwów, i uczynili Wiecznymi Tułaczami.

DANUTA NESPIAK

Wieści z krainy między Dniestrem, Prutem a Czeremoszem

Mer miasta Tłumacz w woj. stanisławowskim zaprosił członków Klubu „Tłumacz” przy TML we Wrocławiu do odwiedzenia ich rodzinnego miasta. Skrzyknęli się tłumaczanie z całej Polski i życzliwie ofiarowali dwa miejsca lwowiankom — p. Krystynie Karbownik i mnie. Radość była wielka; zgodnie postanowiliśmy, że należy zobaczyć jak najwięcej z krajobrazu pięknego Pokucia.

Przejsie graniczne, a raczej czystiec graniczny Medykę—Szeginię przejechaliśmy bezboleśnie. Wieźliśmy pomoc charytatywną i posiadaliśmy uwiarygodniające tę okoliczność dokumenty. Po tamtej stronie granicy zatrzymaliśmy się na krótko dopiero aż w Samborze.

Stary gród położony na wzgórzu nad Dniestrem obchodził w grudniu 1990 r. swoje 600-letnie urodziny, związane z działalnością Spytka z Melsztyna, wojewody krakowskiego, który nadał nowemu miastu prawa magdeburskie. Wiedzieliśmy, że tu mieszka kilka tysięcy Polaków, a wśród nich znakomity organizator tej społeczności inż. Jan Farbotnik, prezes samborskiego Oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Za mało było czasu, by go szukać, trzeba bodaj kilka minut poświęcić temu miastu, tak blisko leżącemu od granicy polskiej, a takiemu odległemu od swego dawnego demograficznego „exterieur”. Jak tu było kiedyś? Nikt z grupy tłumaczan nie znał Sambora. Zatem przytaczam wspomnienia pana Juliusza Markowskiego ze Szczecina przysłane do naszej redakcji: „Z pobytu i pracy w Samborze pozostały mi jak najmilsze wspomnienia. Poznałem tam wielu cenionych obywateli, miałem wielu przyjaciół. Mieszkalem przy ul. Chopina w willi dra wet. Nadybskiego. Burmistrzem był wówczas Stanisław Wajda, a kierownikiem Wydziału Budowlanego inż. Jan Waszko, człowiek o wspaniałych zaletach. Kierownikiem Zarządu Drogowego w Urzędzie Powiatowym był inż. Kazimierz Sokalski, po wojnie rektor Politechniki w Krakowie. W gimnazjum uczyła Stefania Wojakowska z domu Strycharska, z którą znaleźliśmy się od lat dziecińczych (po wojnie spotkałem Stefę w Rzeszowie). Uczył tutaj też mój nauczyciel z VIII gimnazjum we Lwowie prof. Podoliński. Rodzina Nanke to też samborzanie. Dwie siostry profesora historyka Czesława Nankego — Julia i Maria z mężem zmarli w Szczecinie...

A czego ja dokonałem w Samborze? Sobie mogę przypisać, że w tym czasie tak korzystnie poprawiły się nawierzchnie ulic i chodniki (oczywiście dzięki staraniom władz miejskich). W la-

tach mojej pracy w Samborze magistrat zlecił prof. Nadolskiemu z Politechniki Lwowskiej opracowanie projektu nowych wodociągów miejskich”. A my potykaliśmy się o krzywe teraz bruki Sambora. Szliśmy stromo biegnącą ulicą z uroczymi, acz bardzo zaniedbanymi kamieniczkami z austriackich czasów, patrząc na miasto, o którym Szymon Starowolski w swoim opisie Królestwa Polskiego wydanego w 1632 r. tak wspominał: „w ziemi przemyskiej z miast sławniejszych Sambor z przepięknym klasztorem minorytów”.

Byliśmy w kościele parafialnym, nieprzerwanie tu czynnym, i pod murami cerkwi, gdzie ujawnił się konflikt religijny między wyznawcami prawosławia a grekokatolikami.

Z Sambora do Tłumacza jechaliśmy już „jednym tchem”, przez Drohobycz, Stryj, Bolechów, Dolinę, Kałusz, Stanisławów. Jeden wyjątek zrobiliśmy dla Drohobycza, żeby zwiedzić wspaniałą gotycki kościół fundacji Kazimierza Jagiellończyka z 1392 r. We wnętrzu tej świątyni spotykamy się z grupą drohobyczan Polaków. Codziennie nieustrudzenie swoimi wiernymi spracowanymi rękoma remontują swój kościół. Niektórych już znam. Żałuję, że nie mogę miłym tłumaczanom przedstawić prezesa drohobyckiego Oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej pana Adama Chłopka — energicznego optymistę (wyszedł tuż przed naszym przybyciem). Tutaj na chórze, w otoczeniu okaleczonych, zniszczonych barokowych rzeźb, czekających cierpliwie na konserwatorów z Polski, zaśpiewaliśmy *Boże coś Polskę*. Nie było czasu, żeby podejść pod dom Brunona Schultza, na którym jest już ufundowana tablica z polskim napisem informującym, kto tu mieszkał. Drohobycz nie ma już cyrkonowych sklepów, ale odbudowuje się synagogę. Gdzieś głęboko kołacze mi się gorzka myśl — dla kogo? Więc niech będzie dla tej garstki, którą zachował Jahwe. Drohobycz, Sambor, Stryj, Stanisławów, Kołomyja i prawie wszystkie miasteczka i wsie, gdzie mieszkali Polacy, Żydzi, Ormianie, przeszły tu swoje wielkie tragedie w latach 1939—45.

Jadąc mijaliśmy wsie. Z zukrainizowanych nazw odczytywaliśmy poprzednie małopolskie brzmienie. Horodyszcz to po prostu Horodyszcze. Odnotowałam tu smutny polski opuszczony cmentarz, a na skraju wsi wznosił się zielony kopiec Siczowych Strzelców i UPA. Dużo ich zresztą było na tej trasie, zagęszczały się zwłaszcza między Doliną a Kałuszem. Wyznaczają być może paradoksalnie męczeński szlak pomordowanych przez ukraińskich nacjonalistów Polaków. Mijając Odyniec przypomniałam sobie, że na peryferiach Doliny spalo-

no niemal wszystkie gospodarstwa polskie, a jak tragiczna była tu wigilia Bożego Narodzenia w 1944 roku!

Za Stanisławowem, kiedy mijamy starą sławną Ormianami Tyśmienicę, tłumaczanie, którzy tu kiedyś często bywali, wołają, że nie widzą już kościołów — ani rzymskokatolickiego, ani ormiańskiego. Za Tyśmienicą mijamy źle zapisane w pamięci Polaków Kłubiwczi, czyli Kłubowce, z dużym kopcem Strzelców Siczowych i UPA.

Po przyjeździe do Tłumacza spotkaliśmy się niebawem z jego władzami. „Hołowa mista”, czyli mer, młody, o przyjemnej aparycji człowiek powitał nas bardzo serdecznie w sposób, który usuwał normalną w takich okazjach sztywność. W jego słowach brzmiała nuta nieudawanej życzliwości, mówił po prostu, że wita Polaków, wśród których są ludzie w wieku jego rodziców, dla których Tłumacz jest rodzinnym drogim miastem i że jesteśmy jednej wiary (mer jest unitą).

Przeprosił nas, że nie mówi po polsku, ale miał przy sobie tłumacza, również młodego przystojnego chłopca, jak się potem okazało pół Polaka, pół Ukraińca. A potem po całodziennym podróży rozlokowaliśmy się w pokojach studenckich Technikum Ekonomicznego.

Na naszą część na parterze otwarty był salon fryzjerski i bufet. Była tam znakomita woda mineralna z Tyśmienicy, moskiewska wódka, rosyjski szampan, gruziński koniak, czarna kawa i bułki. Równocześnie w tłumackich sklepach nie było nic poza chlebem i kompotem z ubiegłorocznych zbiorów.

Nazajutrz była niedziela, a ponieważ w Tłumaczu nie ma kościoła, postanowiliśmy pójść do cerkwi greckokatolickiej. (Prawosławni swoją cerkiew budują). Idąc zwartą grupą na nabożeństwo, nie przewidzieliśmy biegu wydarzeń. Naprzeciw nas wyszła z cerkwi tłumna procesja z cerkiewnymi chorągwiemi, prowadzona przez księdza trzymającego duży złoty ewangelarz w ręku. Pojawiła się młodzież i zaczęła nam wręczać kwiaty z tłumackich domowych ogrodów. W ciągu kilku minut trzymaliśmy w rękach kwiaty, a ksiądz witał nas jako braci w wierze, którzy tutaj w Tłumaczu kiedyś mieszkali. Nabożeństwo było długie, 2-godzinne. Spowiadały nas dymy kadzidła, a nastrój innej wschodniej liturgii w blasku cieniutkich świec oraz brzmienie mocnych, głębokich barytonów w pieśniach, w których powtarzały się refreny „Hospody pomyłuj, Boże pomyłuj”, spowodowały, że poczuliśmy się jakby w innym świecie i cała powikłana historia tej ziemi przycichła, oddaliła się. Kiedy tak wyciszeni staliśmy z dogasającymi świecami w rękach, ksiądz zaczął czytać komunikaty. Wtedy usłyszeliśmy, że w następną niedzielę odbędzie się poświęcenie kopców Siczowych Strzelców i nabożeństwo za UPA w podtłumackich wsiach. W jednej chwili znikło nasze współuczestnictwo w tym skupieniu duchowym. Wróciły tamte wspomnienia, trzymaliśmy jeszcze w rękach kwiaty, ale zaczęliśmy szybko wychodzić z cerkwi — zresztą był to koniec nabożeństwa. Mimo że tego nie chcieliśmy, przerwana została niewidzialna więź wytworzona między nami a tamtymi z cerkwi. Dowiedziałam się potem, że ksiądz ten, kochany i poważany przez swoich parafian, bardzo wycierpiał w czasie prześladowań kościoła greckokatolickiego. Jako kapłan miał pełne prawo mo-

dlić się za „siczowników”, ale do modlitw winny były być dołączone również modlitwy za pomordowanych przez nich Polaków. Ta tragiczna przeszłość, dopóki nie będzie sprawiedliwie osądzona i przedstawiona światu, zawsze będzie nas dzielić. I tutaj we wspomnieniach wróciły również tamte dni.

Oto w nocy Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych do Ambasady RP w ZSRR z 8 I 1942 r. wyszczególniono obwody, dla których utworzone zostaną delegatury polskiej ambasady. Figuruje tam obwód Kustanaj. Kustanaj leży w Kazachstanie, Tłumacz — zaledwie dwadzieścia kilka kilometrów na wschód od Stanisławowa. Co łączy Kustanaj z Tłumaczem? Lutową nocą 1940 r. do domu polskiego policjanta w Tłumaczu Józefa Panichida załomotano do drzwi. Oprócz enkawudzystów zawitali również panowie Soroka i Łysyk. Tłumacz był kilkunarodowy — mieszkali tu Polacy, Rusini i Ukraińcy, dużo Żydów i trochę Ormian. Ci co przyszli razem z NKWD byli Ukraińcami. Policjanta w domu nie było, więc żona pojechała z trójką małych dzieci daleko, daleko za Ural, aż do Kustanaju. W transporcie jadącym do Kazachstanu, a zbierającym Polaków ze Stanisławowa, Tyśmienicy, Otyni Nadwórnej itd. była także Ukrainka. Wzięto ją z córką Oleną, która gdy polski posterunkowy Panichid był na służbie, a lato tu bywało upalne, przynosiła mu po prostu dzban zimnej wody. O tym fakcie donieśli na NKWD jej pobratymcy spod tłumackiej wsi. Nie wrócili już z Kazachstanu. Powiedziała mi o tym jedna z córek p. Panichida, kiedy wracałyśmy przez dawne „corso” tłumackie, czyli ulicę Słowackiego. Było to jej pierwsze spotkanie z tą ulicą po 51 latach.

Albo takie wspomnienie. W 1943 r. złe wieści zaczęły dochodzić z Nadorożnej i Kłubowców — wsi podtłumackich o przewadze ludności ukraińskiej. Ojciec i brat Zygmunta Guszpita wybrali się jednak do trochę dalej położonego Budzynia, leżącego w pętli, którą tworzy tutaj Dniestr. Teraz to „obłast’ ternopilska”, nie „iwanofrankiwska”. Dwa lata temu, tj. w 1939 r., Zygmunt Guszpit wzbudził niejaką sensację w Tłumaczu. W centralnym miejscu miasteczka, gdzie teraz znajduje się „kinoteatr” zbudowany na miejscu wysadzonego dynamitem kościoła Św. Anny, Zygmunt klęknął na schodach kina, zapalił dwie świeczki i modlił się za duszę ojca i brata. Nikt go nie zaczepił. Bo ojciec i brat nie wrócili już nigdy do Tłumacza. Teraz, w 1991 r., Zygmunt Guszpit pojechał sam do Budzynia. Wrócił do nas po dwóch dniach, obładowany wiejskim prowiantem. Tam się dowiedział, że ojca i brata zadźgali widłami. Potem rozpalili ognisko, śpiewali „Smert Lachom” i piekli kawałki ich ciał na ognisku.

W piękną księżycową noc w Tłumaczu zwróciłam uwagę na obłany światłem księżyca narożny piętrowy dom z secesyjnymi dekoracjami i płynną linią balkonu — jedna z nielicznych kamienic przedwojennego Tłumacza. Jakże to stylowe — powiedziałam. Moja tłumacka przewodniczka p. Danuta Tabińska objaśniła mnie, że to dom Makucha. Dr Iwan Makuch, Ukraińiec, był posłem do Sejmu Polskiego II Rzeczypospolitej. Komu z Polaków przyszłoby do głowy upiec go na ogniu? Gdy jadąc do Stanisławowa mijaliśmy wieś Markowce, zobaczyłam kopiec usypany ku czci „Strilców Si-

czowych" i UPA. Tych kopców z krzyżami obwieszonymi wiankami ze sztucznych kwiatów jest na Pokuciu bardzo dużo. Mają one czcić pamięć m.in. tych, co piekli ciało ojca i brata Zygmunta Gusz-pita.

Dowiedziałam się, że w Nadorożnej, tam gdzie miało być poświęcenie kopca UPA, mordowano Polaków — kilkunastu z nich kryje wspólna mogiła na cmentarzu w Tłumaczu. Mogiły tej nie znaleźliśmy — przepadła? zniżyła się do poziomu ziemi? zarosła tak, że ukryły ją bujne krzaki? Ten pięknie położony na łagodnie opadającym wzniesieniu cmentarz zachował jeszcze stare polskie grobowce z emaliowanymi fotografiami zmarłych, otulone bujną zielenią, a ich wystrój rzeźbiarski świadczy o zamożności tych, co odeszli.

Wieczorami, kiedy wracaliśmy z naszych wojaży po Pokuciu, przed wejściem do internatu pojawiały się stare kobiety — zaniedbane, biedne, niektóre jakby zalęknione. Czekwały cierpliwie na rozmowy, nie wchodziły do nas do pokojów, gdzie na podłogach leżały barwne kosowskie dywany. Prosiły, żeby zawiadomić, że czeka na dole dawna sąsiadka, że ktoś ze wsi przyjechał specjalnie, że znają rodziny i chcą rozmawiać. Z szeptów tych rozmów, z serdecznych zwierzeń, z niedopowiedzianych do końca historii, z ujawnionych niekiedy bardzo ostrożnie skarg rysował się niewidoczny z parterowych ulic Tłumacza, a zapewne i z Tyśmienicy, i z Nadwórnej świat, ujawniający, jak ostro przebiegają podziały tych społeczności, jak antagonistycznie rysują się stosunki między grekokatolikami a prawosławnymi. Stare kobiety, te prawosławne, stojące przy furtkach swoich parterowych drewnianych domów, podawały podobno zaraz wieczorem jedna drugiej wieści, że „przyjechały Poliaki widberaty swoji domy”. Ale później widząc, że jesteśmy goszczone, że odwiedzamy te domy, że płyną stamtąd stare polskie i ruskie pieśni — wiadomość ta ucichła.

Ja byłam w gościnnym domu Nadi — koleżanki szkolnej córki pana Panichida, tej Polki, uroczej, pogodnej Pani, która była na zesłaniu w Kustanaju. Matka Nadi dzieliła się ze swoimi sąsiadami mąką i kartoflami bez względu na to, czy byli to Polacy, czy Rusini (teraz się mówi tylko Ukraińcy).

W tej gromadzie zbierających się kobiet potrafiłyśmy dodatkowym zmysłem odróżnić Polki. Jedna powiedziała mi na tłumackim cmentarzu, że do dzisiaj w swojej wsi mówi „Sława Jezusa Chrystu” a nie „Niech będzie pochwalony”, bo jej wtedy sąsiadka nie odpowie.

W Stanisławowie spędziliśmy cały dzień. Spod radzieckiej rzeczywistości, spod obecnej od pół wieku ukraińskości przebija i jest nie do zatarcia historyczna przeszłość Stanisławowa — miasta magnackiej rodziny Potockich, miasta polskiego, a różnorodnego pod względem etnicznym, ze swym silnym piętnem ormiańskim, tak wspaniale reprezentowanym przez architekturę i wystrój rzeźbiarski kościoła ormiańskiego — pomnika świetności tej nacji w tym mieście. A ulica Sapieżyńska — jej secesyjnej urody, jej polskiego charakteru nie zatęrzy ukraińskie napisy „pamiętnik architektury”. Dlatego, że zabytki nie kłamią. A wobec ich uniwersalnego znaczenia dla kultury chwala tym, co to rozumieją. Weszłam tutaj do jednej z kamienic. Z boku secesyjnego witrażu klatki schodowej

zauważyłam napis: Krakowski Zakład Witraży i Mozaiki S. G. Żeleńskiego 1912.

Zresztą o Stanisławowie można by relacjonować długo. Do dawnego pałacu Potockich, gdzie mieści się jeszcze od czasów austriackich szpital, nie wpuścił mnie wartownik. Ale weszłam tam z wyższym od niego rangą komandirem. Ten do mnie powiedział „dla was zdieś pamiat’ o grafini Potockoj”. Na dziedzińcu spotkałam pacjenta. W trakcie rozmowy poinformował, że urodził się w Winnicy, a jego dziadowie to byli „Poliaki”. Ale nie nie wiedział o Potockich i mówił po rosyjsku.

Do Kołomyi, Kosowa i Kut jechaliśmy bez obciążenia rodzinnymi. Nikt nie zostawił tam domu, krewnych ani sąsiadów. Odczuwaliśmy po prostu głęboką potrzebę zwiedzenia tego niezwykle pięknego obszaru Małopolski Wschodniej. Chwaliła się Kołomyja, że założył miasto królewicz węgierski Koloman, a zarazem książę halicki i mąż Salomei, córki naszego księcia Leszka Białego. Król Władysław Jagiełło obdarował miasto herbem, przywilejem na targi w soboty i klasztorem dominikanów.

Kołomyja była za czasów polskich siedzibą starostwa i znaczącym ośrodkiem kultury. Znajdowały się tu gimnazja polskie i ruskie, seminarium żeńskie, różne stowarzyszenia polskie, ruskie i żydowskie; miała Kołomyja też swoich „anglików” oraz piękne dziewczęta. Danuta Tabińska, główny organizator wyprawy tłumaczan, zanuciła nam piosenkę:

Kołomyja ne pomyja
Kołomyja — misto
W Kołomyi krasne diwki
jak pszeniczne cisto.

A inni dośpiewali:

Paryż w ką, Wiedeń w ką
Kołomyja zaś na front
choć w niej błota aż po uszy
mieszkają w niej zacne dusze.

A szczególnie powód do dumy mają dziś polscy kołomyjanie z tego tytułu, że w Kołomyi mieścił się garnizon, w którym stacjonował 49 Pułk Strzelców Huculskich i 11 Karpacki Pułk Artylerii Lekkiej. Oba pułki za swoją dzielność i bohaterstwo we wrześniu 1939 r. otrzymały Order Virtuti Militari.

Jadąc do Kołomyi wiedzieliśmy, że jest tu już czynny rzymskokatolicki kościół pojezuicki, rekonsekrowany 2 XI 1990 r., że dawni kołomyjanie byli tu kilkakrotnie i zaczęli porządkować cmentarz. Zawsze za mało czasu powoduje, że obiegamy wokół rynku i najbliższe ulice. Na targu wśród ciżby wiejskich kobiet w naiwności ducha szukamy barwnych strojów huculskich. Ani jednego. Za to kobieta sprzedająca orzechy mówi do mnie szeptem „Polaki?” i jeszcze ciszej: „koły wy tu przydete?”. A ja, patrząc na okaleczony kształt dawnego kościoła parafialnego, adaptowanego na dom handlowy, znowu odczuwam to ukrywanie polskości tak krwawo wymazanej przez NKWD i UPA na tej pięknej ziemi. A gdzie są Żydzi kołomyjscy, z piękną postacią Pinkasa Munczka, właściciela sklepu z kozuchami i wielbiciela Franciszka Karpińskiego? Ci bardzo nieliczni ocaleni wydali podobno w Nowym Jorku książkę o Kołomyi.

W Kosowie, rozciągającym się po obu brzegach Rybnicy, króciutki postój, nie wiemy którędy kierować się, by odnaleźć budynek słynnego przed wojną zakładu przyrodoleczniczego dra A. Tarnawskiego. Nad miastem wznosi się Miejska Góra, gdzie bitna ongiś szlachta Kossakowscy miała siedzibę obronną nazywaną w przekazach źródłowych „fortalicją”. Żydzi osiedlili się tutaj w XVI, a Ormianie w XVII wieku. Mieszkała tu słynna dynastia kosowskich rabinów, z których ostatni Haim Hagler zginął w 1942 r. Nie wiemy, czy żyją tu jeszcze Polacy, i nie wiemy czy został jakiś ślad po ufundowanym tu w 1764 r. kościele i klasztorze franciszkanów konwentualnych. W niedalekiej Kołomyi parafia rzymskokatolicka powstała już w 1353 r. Rozpiętość tych dat zmusza do przemyslenia.

Spieszymy się do Kut. W pięknej górzystej okolicy leży ta dawna „rzeczpospolita ormiańska”. Za Zygmunta III pobudowali tu sobie kupcy ormiańscy malownicze dworki w pięknych ogrodach i sadach owocowych. Były tu kiedyś kościoły ormiańskie i rzymskokatolickie, a że wyznawcy obu ob rządów żyli przyjacielsko i życzliwie, opiekę nad łacinnikami w Kutach sprawowali w XVIII w. księża ormiańscy. Wyposażyła ich kościół hojnie Ludwika Potocka, kasztelanowa krakowska i hetmanowa wielka koronna przywilejem danym w Kutach dnia 10 VII 1756 r. Kościół zamieniony na sklep został oddany rzymskokatolikom w ubiegłym roku. Muszą tu więc żyć Polacy. W Kutach nikogo nie szukamy, nie pytamy kobiet stojących na progu, gdzie są kupcy Ormianie, i pewnie nikt już nie pamięta o odpuszczeniu w dzień Św. Grzegorza Światłodawcy, apostoła ormiańskiego. Brakuje nam tych rozmów, które wieczorami prowadzimy w Tłumaczu. Jesteśmy tu anonimowi. Podjeżdżamy blisko tego mostu na Czeremoszu, gdzie 17 IX 1939 r. około godz. 23 rząd II RP przeszedł do Rumunii. Piękne są Kuty ze szczytami Krzemienicy i Owidiusza, piękne gniazdo polskich Ormian sprzed wielu wieków. Czy odeszła stąd bezpowrotnie ormiańska tradycja?

Nazajutrz, w przeddzień naszego odjazdu z Tłumacza, „skoczyliśmy” jeszcze do Worochty, a jechaliśmy przez Otynię, Nadworną, Delatyn, Jaremcze i Mikuliczyn. Otynia i Nadworna łącznie

z okolicznymi wioskami zapisały się tragicznie w pamięci Polaków. Nacjonaści ukraińscy nie tylko popełnili tu bestialskie mordy, ale również aktywnie uczestniczyli w akcji deportacji Polaków na Sybir (np. we wsi Polska Wola, parafia Otynia). Gdzie są groby tych pomordowanych? Dzisiaj pod różuje się spokojnie przez te piękne przyrodnicze tereny, podziwia się urodę Gorganów i Czarnohory, a w Jaremczu dorodne hucułki, sprzedając dalekie od dawnego artystycznego poziomu tutejsze pamiątki, też szepczą w rozmowie w czterech oczu „kiedy tu znowu przyjdziecie?”.

Byliśmy przy kamieniu Dobosza, ale nie w jego jaskini, bo tam przy skrócie na szlak strażnicy przyrody zażądali od nas przepustek. Szosą wykutą w skałach przełomu Prutu przejeżdżamy Jamnę, szeroko rozrzucony na łąkach górskich Mikuliczyn, dojeżdżamy do Worochty. Przed wojną było to największe zimowisko w Karpatach Wschodnich, gdzie w lutym odbywała się najważniejsza impreza — marsz Huculskim Szlakiem II Brygady Legionów. Nie było w Polsce przed 1939 r. ciekawszej krainy pod względem pierwotności folkloru i wspaniałej sztuki ludowej, jał Huculszczyzna, obejmująca górskie powiaty nadwórniańskie i kosowski oraz część powiatu kołomyjskiego.

Byliśmy jeszcze na przełęczy Tatarskiej, gdzie płk Maczek przedzierał się w 1939 r. ze swoimi żołnierzami na Węgry. Piękne miejsce i smutne refleksje.

Na pożegnanie mer miasta Tłumacz wydał nam naszą cześć kolację w pierwszej sprywatyzowanej restauracji nad tłumackim stawem. W stawie tym przed wojną kąpały się wszystkie dziewczęta z Tłumacza. Było to tłumackie Lazurkowe Wybrzeże. Gdy wychyliliśmy sporo kieliszków za pomyślności dawnych i nowych tłumaczan, trzeba było postanowić coś konkretnego i pożytecznego na koniec tej wizyty. Otóż członkowie Klubu Tłumacz mieszkający w Nysie (44 osoby) oraz mer Tłumacza i towarzyszące mu osoby z rady miejskiej zaakceptowali pomysł porozumienia kulturalno-towarzyskiego Nysa—Tłumacz. Co z tego wyjdzie w świetle nowej sytuacji u wschodniego sąsiada — zobaczymy. Bądźmy optymistami.

KORESPONDENCJA

Szanowna Redakcjo!

W artykule o Ludwiku Kurowskiego (SF4-5) Autor podał informację o otwarciu kościoła w Żydaczowie. Są tam więc Polacy! Proszę, o ile to możliwe, o podanie jakiegoś adresu w celu nawiązania kontaktu. Może udało by się zorganizować jakąś pomoc. Uważam, że byłaby celowa stała rubryka w SF — adresy Kresowiaków (może we

współpracy z „Gazetą Lwowską”) do nawiązania kontaktów z Rodakami. Rozproszeni po małych miasteczkach Rodacy na pewno oczekują naszych sygnałów i pomocy.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia i życzenia pomyślności

stały czytelnik
Jan Korasiewicz

DANUTA NESPIAK

Przeminęli z wiatrem?

Musimy wszyscy wiedzieć, co się stało na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, tak jak musimy wiedzieć, co się stało w Oświęcimiu i Katyniu. Musimy wiedzieć nie dlatego, żeby się mścić, ale dlatego, żeby zmieniać teraźniejszość i przyszłość. Mieszkaliśmy i będziemy mieszkać o miedzę.

Była kiedyś monarchia w tej części Europy, gdzie dzisiaj znajduje się Polska, Litwa, Białoruś i Ukraina. Nazwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów w dzisiejszym poczuciu sprawiedliwości była krzywdząca dla Białorusi i Ukrainy, ale stanowiły one wówczas ziemie ruskie Litwy i lenna Litwy. Monarchia Jagiellońska mogłaby być w świadomości społecznej tej części Europy, która wchodziła w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów, przykładem współżycia narodów i religii. Ale nawet tę, która istniała do 1795 r., traktując jak macochę trzy, a zwłaszcza dwa narody tej dawnej Ojczyzny Ojczyzn — Ukraińcy i Litwini. Jest to prawda, przed którą nie można zamykać oczu.

Dzisiaj przedstawiciele tych narodów mówią, piszą, protestują, domagają się, tworzą nową antropologię kulturową. Oto przykład litewski — wśród polskich mieszkańców Wileńszczyzny wyodrębniono tzw. „wiczów”, tj. tych obywateli, których nazwiska kończą się tą sylabą. „Wiczowie” są Litwinami mówiącymi językiem słowiańskim — wniosek stąd, że Mickiewicz był Litwinem. Czemu służyć takie karkołomne filologiczne pseudodowody? Ta nowa litewska antropologia kulturowa ma się chyba odwrotnie proporcjonalnie do budowy obopólnej życzliwości.

Ukraińcy nie przeprowadzają dowodów z nazwiska, no bo to nie ma sensu. Małopolskę Wschodnią zamieszkiwali wspólnie ci, których nazwiska kończyły się na „ski” i „cki” oraz na „uk”, a byli zarówno Polakami, jak i Ukraińcami, czy też dawniej Rusinami. No bo właśnie gdzie się podzieli Rusini?

Rzeczpospolita Obojga Narodów ukształtowała jako organizm polityczno-prawno-kulturalny interesujący, zwłaszcza dla współczesnej Europy, przykład obywatela: *gente Ruthenus, natione Polonus*. Obywatel ten był często trójjęzyczny, używał łaciny, znał język polski i ruski. Należał do Europy. Obecnie nie ma Rusinów. Żadne publikacje i artykuły prasowe, liczne wywiady i oświadczenia, które tak często zamieszczają polskie dzienniki, o rozmaitej zresztą orientacji politycznej, nie używają tego określenia w stosunku do jednej z mniejszości narodowych w kraju. Są tylko Ukraińcy, wyznawcy prawosławia i obrządku greckokatolickiego, częściej określanego jako kościół bizantyjsko-ukraiński. I całą naszą wspólną historię przedstawia się jako historię polsko-ukraińską, a dlaczego nie polsko-ruską czy rusińską? Gdzie podzieli się Rusini zamieszkujący

wspólnie z Polakami od kilkuset lat Małopolskę Wschodnią? Czy zniknęli bezpowrotnie? Czy zmieniłi narodowość?

Ciekawy materiał do przemyśleń przynoszą mapy z zakreślonymi granicami etnicznymi (zobacz: *Ukraine: A concise Encyclopaedia*, Edited by Wołodymyr Kubijovyc, T. I. Toronto 1963, University of Toronto Press, The Ukrainian National Association). Ja się tą mapą nie gorszę, mimo że znajduje się tam „Peremyśl” i tzw. Klin lemkowski. Dlaczego? Otóż każdy naród ma swoje granice etniczne, i takie mapy może sobie zafundować nie tylko Ukraina czy Litwa, ale każde, jak by się uparło, państwo europejskie, nawet Wielka Brytania, bo w skład tego państwa weszła Anglia, Szkocja, Walia i Irlandia. Nasza rodząca się w trudzie III Rzeczpospolita też sobie może, nie obrażając nikogo, taką mapę zafundować. I wtedy granice etniczne na Ukrainie sięgną Żytomierszczyzny i obejmą Kamieniec Podolski — bo żyli i żyją tam Polacy.

Wszędzie tam, gdzie jest styk granic, można wyznaczyć terytoria etniczne mieszane w tę czy tamtą stronę i ta czy tamta strona może do tych obszarów wnosić pretensje. Na terenach etnicznie mieszanych były księstwa i państwa, które dawno zniknęły ze sceny dziejowej, a które reanimują polityczne decyzje, mając na uwadze określone cele. Nie jest to aluzja do wspomnianej mapy Ukrainy, choćby dlatego, że nie ma tam w trójkącie Lwów—Przemyśl—Halicz nazwy Ruś Halicka, co byłoby ową reanimacją. Wspomniana Ruś została shołdowana przez Tatarów po 1240 r., a przestała istnieć jako księstwo i terytorium sporne między Polską, Litwą i Węgrami po odziedziczeniu jej przez króla Kazimierza Wielkiego, tj. 100 lat po najeździe tatarskim. Po włączeniu do Korony powstało tu województwo ruskie z ziemiami sanocką, przemyską, lwowską i halicką, zamieszkanymi przez ludność mieszaną, a wśród nich byli poszukiwani przeze mnie Rusini. W okresie międzywojennym terytorium to stanowiło Małopolskę Wschodnią i obejmowało woj. lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. W okresie zaborów Austriacy wprowadzili (zlatynizowaną od Rusi Halickiej) nazwę „Galicja”, co było swoistą reanimacją. Nie było jeszcze Ukrainy, nie mówiąc już, że Zachodniej.

Nazwa Ukraina na mapach pojawiła się dopiero w XVII wieku. Twórcą tych map był Francuz pozostający na usługach hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego — Guillaume Vasseur de Beauplan, inżynier wojskowy, kartograf i specjalista od fortyfikacji, współautor rezydencji Koniecpolskich w Podhorcach, budowniczy twierdzy Kudak nad Dnieprem, fortyfikacji Nowego Koniecpola nad Bohem, Baru na Podolu i twierdzy w Brodach. Ów Francuz po wyprawie

rekonesansowej w 1638 r. do ujścia Dniepru opracował mapę *Delineatio generalis Camporum Desertorum vulgo Ukraina cum adiecentibus provinciis*, która wydana została w Gdańsku w 1648 r. Wspomniane Camporum Desertorum to Dzikie Pola, czyli Zaporozże, tj. ziemie leżące na południe od porohów dnieprzańskich. Te rozległe stepy były sercem Ukrainy, ojczyzną Siczy Kozackiej. Stąd relacja Ukraina-Kozaczyzna jest relacją właściwą.

W 1651 r. Beauplan opracował drugą mapę *Delineatio specialis et accurata totius Ukrainae*, na której Ukraina obejmuje tereny między Bohem a Dnieprem. Mapę części Polesia jako uzupełnienie mapy Ukrainy Beauplan opracował w 1650 r. gdańszczanin Daniel Zwicker.

Zatem Ukraina jest dużo, dużo późniejszym terminem geograficznym i etnicznym niż starodawna Ruś Kijowska (IX wiek) czy młodsza od niej Ruś Halicka (bo XI wiek). A gdzieś po drodze między Rusią Kijowską, Rusią Halicko-Włodzimierską, Ukrainą Kozacką Chmielnickiego na Dzikich Polach zgubili się nasi współmieszkańcy województwa ruskiego, potem Galicji — Rusini.

Właśnie Rusin lwowski Samuel Kuszewicz w czasie oblężenia Lwowa przez Kozaków i Tatarów Chmielnickiego oraz armię rosyjską Buturlina w 1655 r. dał hetmanowi kozackiemu taką odpowiedź: „Życie i całość nas wszystkich jest w Twoim ręku [...]. Wszelako chciej wiedzieć raz na zawsze, że w imię cara moskiewskiego nie złożymy przysięgi ani miasta nie poddamy, bo dochowujemy nienaruszoną wierność dla Najjaśniejszego Jana Kazimierza Króla naszego”.

Odeszła dawno ze sceny dziejowej Ruś Kijowska i Ruś Halicka. Ten obszar geograficzny, kulturowy, etniczny zajęła w toku procesów poli-

tycznych naddnieprzańską Ukrainą, która rozszerzyła się ze swego pierwotnego centrum między Bohem a Dnieprem aż do obszaru po Klin Łemkowski, przedstawionego na wspomnianej mapie zamieszczonej w encyklopedii wydanej w Toronto w 1963 r. Dlaczego skazano na kompletne zapomnienie właśnie narodowość i kulturę ruską? Przecież była ona obecna na południowo-wschodnich kresach Polski. Śmiem twierdzić, że była obecna do 1939 r.

A tak na marginesie — dla mnie narodowość to nie tylko genetyka, to indywidualny, świadomy wybór języka, kultury, historii, to wrośnięcie intelektualne i emocjonalne w dany naród, to branie udziału w jego klęskach i zwycięstwach. Więc można się urodzić z ojca Niemca i matki Polki i być Polakiem, można się urodzić z ojca Żyda i matki Żydówki i też być Polakiem. Można się urodzić z matki Polki i ojca Polaka i być np. Feliksem Dzierżyńskim. Liczba kombinacji jest ogromna i dużo jest przykładów w naszej i obcej historii, że narodowość to rzecz wyboru i realizowanej drogi, a nie tylko genetyka — klasyczny polski przykład to rodzina Szeptyckich. Kto będzie dzisiaj twierdził, że Katarzyna Wielka to Niemka (urodzona księżniczka Zofia Augusta Anhalt-Zerbst). To przecież autentyczna w swoim działaniu i prawosławnej wierze Rosjanka, równie niebezpieczna dla Polaków, jak i dla Kozaków Zaporoskich.

Ja szukam Rusinów. Gdzie się podział ten naród od wieków mieszkający z Polakami, Żydami, Ormianami, Niemcami, Grekami, Włochami, Szkotami i Węgrami (Boimowie pochodzili z Węgier, Korniaktowie z Krety) we Lwowie i Małopolsce Wschodniej?

AKTUALNOŚCI

STANISŁAW RAKOWSKI

Kresowe szlaki. Czortków

W jedną z upalnych czerwcowych niedziel 1990 r., wiedziony śladami dawnych dni, znalazłem się w kresowym miasteczku Czortkowie. Położone jest ono malowniczo w głębokim jarze dopływu Dniestru — Seretu, jak wiele innych miasteczek i osiedli Podola. Z odległości paru kilometrów miasteczko jest prawie niewidoczne. Gdy zjeżdża się od strony południowej, tj. od strony Zaleszczyk kilkukilometrowym łagodnym stokiem, widoczny jest z oddali przeciwległy ostry stok jaru, na którym bieleją zabudowania Górnej Wygnanki. U stóp jaru widoczne są ruiny rozległego zamku, w którym gościł w 1683 r. król Jan III Sobieski, wracając z wyprawy na Kamieniec Podolski.

Po drodze mijamy dawne kawaleryjskie koszary Kor-

pusu Ochrony Pogranicza, zbudowane w ostatnich latach przedwojennych, a nieco dalej po drugiej stronie szosy górne i dolne koszary KOP-u, pamiętające jeszcze czasy austriackie. Dzisiaj również pełnią funkcje koszar, z tym że równocześnie zasiedlone są przez rodziny wojskowe. Po dwórze jest zarośnięte chwastami, ogrodzenie zniszczone, a z parapetów okien zwisają wietrzące się pierzyny.

Parę kroków poniżej wznosi się monumentalny stylowy gmach dawnego Sądu Grodzkiego i Sądu Okręgowego, którego nie tknął zab czasu, a który pamięta również dawne austriackie czasy. W jednym skrzydle tego budynku mieściło się też dowództwo Brygady „Podole” Korpusu Ochrony Pogranicza.

Jeszcze niżej za pczętą, przy skrzyżowaniu ul. Mickiewicza i Sobieskiego, góruje nad miastem wysoka strzelista wieża masyw kościoła Dominikanów. Kościół ten wybudowany został w miejscu dawnego starego kościoła w 1912 r. w stylu neogotyckim według projektu profesora Sas Zubrzyckiego.

Jak wynika z historycznych źródeł, w 1610 r. wojewoda ruski Stanisław Gołski ufundował w Czortkowie klasztor Dominikanów pod wezwaniem św. Stanisława biskupa i męczennika. Klasztor jako jedyna w tych okolicach placówka rzymskokatolicka od początku prowadził wszechstronną pracę duszpasterską w okolicy. W kościele znajdował się słynny cudowny obraz Matki Boskiej Czortkowskiej, który cieszył się wielkim kultem wśród miejscowej ludności. Na przestrzeni dziejów klasztor przechodził różne koleje losu. Największa tragedia spotkała zakonników w czasie ostatniej wojny. W nocy z 1 na 2 VII 1941 r., kiedy to ostatnie oddziały żołnierzy Czerwonej Armii opuszczały miasto, wywleczono 4 zakonników i strzałami w tył głowy zamordowano nad brzegiem Seretu, a pozostałych 3 zakonników zamordowano w celach zakonnych. Była to prawdopodobnie zemsta miejscowych służb NKWD.

Klasztor i kościół funkcjonowały bez przerwy do 14 VI 1946 r., kiedy to odprawiona została po raz ostatni Msza św., po czym odebrano dominikanom klucze i kościół zamknięto. 15 VI 1946 r. ruszył kolejny transport na zachód, a z nim ostatni zakonnicy. Na dworcu zagnał ich płaczący tłum ludzi. Zabrano także cudowny obraz Matki Boskiej Czortkowskiej, który znalazł przytułek w kościele św. Jacka w Warszawie. W każdą pierwszą niedzielę września zjeżdżają się dawni mieszkańcy Czortkowa do tego kościoła, modląc się o powrót w rodzinne strony.

Przez prawie pół wieku budynek kościoła służył jako magazyn materiałów pędnych i smarów. Mijały długie lata, aż przyszedł nowe czasy. W pierwszą niedzielę lipca 1989 r. odbyły się uroczystości otwarcia i powtórnego poświęcenia kościoła. Uroczystości zgromadziły tłumy wiernych z odległych miejscowości Podola. Mszę świętą celebrowało około 40 księży w obecności biskupa Romana Andrzejewskiego z Włocławka.

Wstąpiłem do wnętrza kościoła. W młodości bywałem w nim prawie każdego dnia, wstępując po drodze do szkoły, i co niedzielę uczestniczyłem w szkolnej mszy o godz. 9. Brała w niej udział cała młodzież szkół średnich, maszerując w zwartym szyku ze swych szkół pod opieką księży dominikanów. Ich kremowe habity, opasane czerwonymi szerokimi pasami z dużymi drewnianymi różańcami, sięgającymi do kolan, prezentowały się wspaniale.

Te same imponujące rozmiarami filary, ta sama posadzka z glazurowych płytek zdobionych ornamentami, ta sama o ciekawym kształcie kazalnica. Te same na no-

wo odsłonięte spod tynków pamiątkowe tablice: ku czci twórców Konstytucji Trzeciego Maja i druga na pamiątkę wiktorii wiedeńskiej. Tylko chór świeci pustką po zrabowanych zabytkowych organach. Na ścianach zacieki i resztki malowideł z odpadającymi tynkami.

Oczami wyobraźni widzę kościół pełen młodzieży obojga płci w mundurkach szkolnych, widzę, jak po wyjściu z kościoła, pełni radości życia, rozbiegali się hałaśliwie grupkami w różne strony.

Oczami wyobraźni widzę również twarze młodych żołnierzy KOP-u, którzy w defiladowym szyku przybywali w galowych mundurach na mszę wojсковą o godz. 10. Po obu stronach chodnika stały tłumy ludzi, przyglądając się, jak maszerowali do kościoła.

Wraca jednak rzeczywistość, minęło już tyle trudnych i ciężkich lat. Przy wyjściu spotykam starszego człowieka, nieco otyłego, w ciasnym ubraniu i niechlujnym obuwiu. Gdy go zagadnąłem, okazało się, że pełni obowiązki kościelnego. Łamaną polszczyzną opowiadał, że jest Polakiem, przed wojną nie mieszkał w Czortkowie, przybył tu z Dunajowa zza Zbrucza.

Idąc dalej, mijam charakterystyczną budowlę z niewysoką wieżą o czterech zegarach, przypominającą miniaturę Sukiennic. Jest to miejski bazar, który dawniej tętnił życiem do późnego wieczoru. Na piętrze były sklepiki z różnymi towarami, a na parterze znajdowało się ok. 30 sklepików z mięsem i różnymi wędlinami, których zapach z daleka wabił przechodniów.

Przy tej ulicy stoi nadal stara drewniana cerkiewka, oddana obecnie wyznawcom religii greckokatolickiej. Przy zaimprovizowanym polowym ołtarzu przed cerkiewką, w otoczeniu ikon i zapalonych świec odprawiona była „Służba Boża”. Z błękitnego nieba lał się żar jak za dawnych lat. Słaby wietrzyk powiewał chorągiewkami cerkiewnymi i sino-żółtymi sztandarami. Grupa młodych chłopców ubrana była w kozackie szarawary i koszule zapięte pod szyją czerwoną wstążką, a dziewczęta w białe wyszywane koszule.

Jak się okazało, świętowano w ten sposób kolejną rocznicę ostatnich walk o Czortków w 1919 r. Strzelców Siczowych z żołnierzami dywizji Żeligowskiego, którzy wyparci zostali za Zbrucz. Po mszy ruszył pochód przez miasto w kierunku odległego cmentarza znajdującego się przy wylocie szosy w kierunku Jagielnicy. Na cmentarzu przy mogiłach poległych strzelców długo rozlegały się śpiewy religijne, deklamacje dziewcząt szkolnych i kazania popów. Padaly słowa pojednania i nienawiści, słowa o najeźdźcach ze Wschodu i Zachodu. Nie była to prawda. Nie byliśmy najeźdźcami. Te dwie narodowości od wieków współżyły tam razem. Obok stał opuszczony pomnik polskich obrońców z lat 1918–21, z którego wyzierały zniszczone zębem czasu polskie napisy i polskie orły.

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa informuje, że Biuro Podróży „Leopolis” we Wrocławiu przy ul. Św. Mikołaja, prowadzone przez Bogumiła Seńczuka, nie jest częścią skła-

dową naszego Towarzystwa i nie jest upoważnione do jakichkolwiek działań w imieniu TML.

W związku z tym Zarząd Główny TML nie bierze odpowiedzialności za działalność w/w biura.

A jednak są „Orlęta Lwowskie”

Historia toczy się różnymi drogami, podobno nigdy się nie powtarza — a jednak ... Świat się zmienia. Padają kolosy, reżimy, bo nic nie jest wieczne. Historia narodu, jego kultury nigdy nie ginie. Przycicha, walczy o przetrwanie w pojedynczych rodzinach, domach, przechodzi na pokolenia.

Jest to smutne, ale ostatnie pokolenie „ludzi stamtąd” — z Kresów Wschodnich: Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Stryja, Żółkwi, Drohobycza i setek miast, miasteczek i wsi odchodzi pełnić ostatnią wartę na tamtym brzegu. Aż dziw bierze, ile tysięcy Polaków mieszkało na Kresach Wschodnich, tworzyło kulturę narodu, wydało uczonych, poetów, śpiewaków, profesorów i bohaterów, którzy bronili tych ziem. Walczyli przez setki lat o przetrwanie, o zachowanie kultury i polskości.

Zdradziecki pakt Ribbentrop-Mołotow w 1939 r. zniszczył wszystko, naraził tysiące ludzi na śmierć, ponieważ, tułaczkę, utratę tego, co pokolenia dziadów i pradziadów tworzyły, budowały i gromadziły. Mija 52 rocznica utraty wolności i bytu państwowego. Wszystko to skłania do refleksji i zastanowienia. Czy tak powinno być, czy Polacy „wieczni tułacze” mają się godzić z tą rzeczywistością? Czy tak łatwo można powiedzieć w imieniu narodu „nie rościmy pretensji”? Losem narodu rządzi polityka, która nie uznaje sentymentów. Pozostaje więc bronić tego, co zostało. Pielęgnować tradycję, chronić resztki dóbr materialnych, gromadzić i nie pozwolić zapomnieć.

Powstałe 22 IX 1988 r. Towarzystwo Miłośników Lwowa (pod tym kryją się całe Kresy Wschodnie) obchodzi trzecią rocznicę powstania. Śmiemy sądzić, że wszystko jeszcze przed nami. Siła nasza będzie owocować, jeśli zjednoczymy nasze głosy tu w kraju i za jego granicami — wszędzie tam, gdzie mieszkają, żyją i nie zapominają mieszkańcy Lwowa i Kresów Wschodnich.

A tymczasem w dalekiej Danii, w Kopenhadze stał się cud nie nad Wisłą, a nad Lwowem. Nad jego obrońcami, tysiącami poległych w obronie miasta, nad Orlętami Lwowskimi.

W dniu 20 sierpnia 1991 r. w Kopenhadze w stoczni Burmeister i Wain Skibsverft A/S odbył się chrzest dwóch statków 74-tysięczników. Jeden otrzymał imię M/S „Szare Szeregi”, a drugi M/S „Orlęta Lwowskie”. Na uroczystość wodowania i chrztu wyjechała delegacja z Wrocławia: matka chrzestna pani Jadwiga Kaluscha — córka obrońcy Lwowa płk. Magiery, odznaczonego Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari, oraz ja jako prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa. Pogoda była pochmurna, siąpił deszcz. W towarzystwie tłumacza i dyrektora stoczni duńskiej podjechaliśmy pod statek. Oczom naszym ukazał się olbrzym długości 228 i szerokości 32 m. Na dziobie statku z jego obu stron napis „Orlęta Lwowskie”, a na szczycie olbrzymi kolorowy herb stołecznego królewskiego miasta Lwowa. Pani Jadwiga w asyście dyrektora stoczni, tłumacza i księdza dra Wł. Zdunka oraz I oficera statku p. Lecha Łatuszyńskiego udaje się po rozłożonym czerwonym dywanie pod dziób statku. Czeka przygotowana butelka szampana. W tym czasie następuje „oberwanie chmury” — leje straszny deszcz. Dyrekcja stoczni jest na to przygotowana — rozdaje firmowe parasole. Wkoło zgromadzona Polonia duńska, delegacje „Szarych Szeregów” z Warszawy, grupa harcerzy z Kopenhagi w polskich mundurach harcerskich; orkiestra gra hymn *Jeszcze Polska nie zginęła* ...

Pani Kaluscha wypowiada tekst: „Płyn po morzach i oceanach, głoś chwałę polskiej bandery, sław imię polskiego marynarza i duńskiego stoczniońca, nadaję ci imię ORLĘTA LWOWSKIE”. Butelka szampana rozbija się o dziób statku. Widzę wzruszenie i łzy w oczach licznie zgromadzonych osób. A co znaczy ten deszcz? Może Opatrzność płacze nad losem Orląt — tak to wszyscy zrozumieliśmy i odczytaliśmy. Może tam w górze Bóg Miłosierny przypomniał sobie o tysiącach tułaczy. Statek „Orlęta Lwowskie” wypływa w swój pierwszy rejs do Ameryki 28 X 1991 r.

Oczywiście były i wesołe chwile spędzone na bankiecie w Lagelinie Pavillonem — po drugiej stronie stoczni, nieopodal małej „syrenki” duńskiej.

W tym miejscu bardzo serdecznie dziękujemy Dyrekcji stoczni duńskiej, która finansowała nasz pobyt w Danii. Słowa podziękowania należą się również Dyrekcji stoczni w Szczecinie, która finansowała przejazd promem do Danii i która jest właścicielem statku.

Nasuwa się smutna refleksja, że w Kraju nikt prawie nie wie o tym wydarzeniu, mass-media milczały, ukazała się tylko lakoniczna informacja w lokalnej prasie szczecińskiej i wrocławskiej. Być może ten fakt będzie opisany w prasie polskiej, jeszcze nic straconego — statek czeka na wypłynięcie.

Cieszyć się będzie lwowska hebra wszędzie tam, gdzie zawinie statek „Orlęta Lwowskie” — wielu lwowiaków uroni łzę.

Towarzystwo Miłośników Lwowa, Zarząd Główny we Wrocławiu, ofiarowało kopię obrazu Wojciecha Kossaka *Orlęta Lwowskie*, wykonaną przez wrocławską malarkę p. Zyndwalewicz. Do biblioteki statku przekazano również książkę S. Niciei *Cmentarz Obrońców Lwowa* oraz reprint albumu *Semper Fidelis — obrona Lwowa*.

Wierzę, że statek będzie dobrą wizytówką Rzeczypospolitej, Lwowa i naszego Towarzystwa.

Życzymy Kapitanowi statku i jego całej Załodze samych pogodnych dni, „stopy wody pod kilem”, pomnażania majątku narodowego, a po lwowsku można powiedzieć Daj Boże zdrowi...



Na zdjęciu: Jadwiga Kaluscha — w czasie chrztu statku

ANDRZEJ CHLIPALSKI

„Ziemie Południowo-Wschodnie II Rzeczypospolitej” — wystawa w Krakowie

Zasób wiedzy historycznej u młodego pokolenia Polaków maleje niemal z roku na rok, a wiadomości o ziemiach wschodnich stają się równe zeru. O ile ogólny stan edukacji historycznej powinien być troską całego społeczeństwa, o tyle naszym — Towarzystwa Miłośników Lwowa i innych tzw. „kresowych” stowarzyszeń — obowiązkiem jest zadbanie, by świadomość decydującej roli ziem wschodnich w dziejach naszego kraju powróciła do umysłów młodych Polaków. Trud to ogromny i sami mu nie poddamy, trzeba się więc postarać, żeby świadomość ta zaistniała na nowo przynajmniej w opiniotwórczych środowiskach wielkomiejskich, uniwersyteckich. Warto powołać się na zwierzenie prof. S.S. Niciei, że w czasie swych studiów na wydziale historycznym jednej z polskich uczelni, a nawet jeszcze później nie zdawał sobie sprawy z roli Lwowa w dziejach Polski i wkładu tego miasta w polską kulturę („Student” 9/1989). Fakt, że profesor Nicieja jest dziś czołowym znawcą problematyki lwowskiej, napawa jednak optymizmem.

Jedną z najlepszych dróg do upowszechnienia wiedzy o ziemiach wschodnich są na pewno wystawy. Świadomy tego krakowski oddział TML zorganizował w lokalu Muzeum Historii Fotografii i przy wydanej jego pomocy wystawę pt. „Ziemie Południowo-Wschodnie II Rzeczypospolitej” w dniach od 14 kwietnia do 19 maja 1991 r. Była to już druga wystawa w tym Muzeum poświęcona Małopolsce Wschodniej. Tematem pierwszej był sam Lwów, teraz pokazano inne miasta i miasteczka, krajobraz i bogactwa, historię i kulturę oraz ludzi całej tej ziemi. Wystawa miała na celu przypomnienie krakowiakom o tak bliskiej geograficznie ziemi wschodniomałopolskiej i o nieodległych w czasie najściślejszych związkach politycznych, gospodarczych, kulturalno-naukowych, kościelnych i rodzinno-towarzyskich między Lwowem i Krakowem, między Małopolską Wschodnią i Zachodnią. Miała też ta wystawa przypomnieć nam samym, naszym dzieciom i wnukom ziemię naszą, bo ojczystą, rodzinną.

Ekspozycję, zorganizowaną w dwóch wielkich i pięknych gotyckich salach na parterze Muzeum, tworzyły przede wszystkim rozwieszone na ścianach plansze ze zdjęciami, nieco map, planów miast, obrazów, plakatów. Ich uzupełnienie stanowiły gabloty, w których umieszczono zdjęcia w większości dawne oryginalne, niejednokrotnie o wartości zabytkowej, ryciny, książki, przewodniki, przedmioty sztuki oraz wytwórczości rzemieślniczej i przemysłowej, stroje ludowe. Organizatorzy opracowali bogatą informację tekstową, zarówno o miejscowościach, jak i o wystawionych przedmiotach oraz o ludziach, których podobizny i twórczość zaprezentowano.

Ekspozycję zgrupowano w zasadzie według województw: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Wyodrębniono dwa tematy ogólne: uzdrowiska oraz kompleks związany z II wojną światową. Przygotowaniem wystawy zainteresowano działające aktywnie przy TML w Krakowie koła regionalne: stanisławowskie, tarnopolskie, złoczow-

skie, żółkiewskie i drohobycko-borysławskie, co niezwykle wzbogaciło ekspozycję, bowiem ułatwiło dotarcie do przebogatyh prywatnych skarbnie materiałów i pamiątek pochodzących z tamtych stron. I odwrotnie: dał się odczuć niedosyt eksponatów z innych miejscowości i okolic.

Wystawę otwierała grupa eksponatów dotycząca całej Małopolski Wschodniej: kilka map (w tym piękna XIX-wieczna mapa Galicji oraz ciekawa mapa połączeń pocztowych w trzech województwach), przewodniki, monografie.

Część szczegółową rozpoczynał temat: Lwów, potraktowany skrótowo ze względu na ubiegłoroczną wystawę (niestety, nie udokumentowaną na łamach „Semper Fidelis”). Przedstawiono herb i plan miasta, mapę okolic, a zamiast zdjęć wyeksponowano serię rysunków Władysława Szczepańskiego, młodego grafika ze Lwowa (ur. 1951), który przed paroma laty osiadł w Kielcach. W gablotach: nieco materiałów z Obrony Lwowa 1918 — 20 oraz wybitni lwowianie, ich podobizny i dzieła lub bodaj wzmianki. Poczet rozpoczynają filary literatury staropolskiej: Szymonowic, dwaj Zimorowice, Sęp-Szarzyński, Leopolda, a kończą Herbert i Lem; nie sposób tu wymienić długiego, bo kilkunastowiecznego pochodzącego z czołowych polskich pisarzy i poetów, artystów i ludzi teatru, uczonych i filozofów, znawców kultur, literatur i języków, prawników, przyrodników, lekarzy, inżynierów, wreszcie wojskowych, polityków, działaczy stąd się wywodzących. Ekspozycję lwowską uzupełniała autentyczna sukmana chłopska z najstarszej, sięgającej średniowiecza, wsi podlwowskiej — Sokolnik.

Ekspozycję województwa lwowskiego otwierał zespół plansz i gablota poświęcona Żółkwi. Na pierwszy plan wysunięto tu postać hetmana Żółkiewskiego, związane z nim wspaniałe budowle, ale także życie miasta w XX w.: szkoły, wojsko, przemysł. Kolejne miasta: Sambor, Gródek Jagielloński, Jaworów, Rawa Ruska, Sokal, zilustrowane głównie przez piękne zestawy starych widokówek, a także różne materiały w gablotach, dotyczące m.in. słynnej szkoły jezuickiej w Chyrowie, wybitnych postaci z samborskiego, jak Aleksander Fredro (i jego Beńkowa Wisznia oraz groby rodzinne w Rudkach), polityk Maciej Rataj, malarz Julian Fałat, a spośród współczesnych malarka Maria Jarembianka (zabrakło Artura Sandauera, także z Sambora). Krakowian mogli szczególnie zainteresować postacie ich dwóch wybitnych prezydentów: Józefa Dietla i Mikołaja Zyblikiewicza, obu rodem spod Sambora. Trzeci z „wielkiej trójki” Juliusz Leo pochodził ze Stebnika pod Drohobyczem.

W tej części wystawy nie można było pominąć dwóch wielkich gablot z polskimi strojami ludowymi z Sambora i jego okolic, wypożyczonymi — podobnie jak wspomniana już sukmana sokolnicka — przez Muzeum Etnograficzne w Krakowie. Stroje te zostały pokazane publicznie po raz pierwszy.

Kolejna ekspozycja to Drohobycz i Zagłębie Naftowe z Borysławiem na czele: wiele starych widokówek i zdjęć zabytków, sztywów naftowych, postaci związanych z przemysłem naftowym, a także obrazy i seria plaketek reklamowych (z blachy) czołowych drohobyckich firm: Polmin, Galicja, Gazolina itd.; wreszcie najwybitniejsi drohobyccanie: Bruno Schulz i Kazimierz Wierzyński. Ekspozycję tego regionu uzupełniała gablotka poświęcona prehistorycznemu nosorożcowi ze Staruni, znalezionemu w pokładach wosku i przechowywanemu w Muzeum Przyrodniczym Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

Zaraz po województwie lwowskim pokazano uzdrowiska w całym przebiegającym przekroju ich problematyki: przyrodniczej, leczniczej, rekreacyjno-turystycznej, architektonicznej. Spośród licznych zdrojowisk zilustrowano przede wszystkim cztery czołowe: Truskawiec (kuriozum geologiczne i terapeutyczne w skali europejskiej), Lubień Wielki, Morszyn i Niemirów. Dalej stacje klimatyczne i kąpieliska, z których najważniejsze: Zaleszczyki, Jaremcze, Worochta, Kosów (ze słynnym zakładem dra Apolinarego Tarnawskiego), wycieczki po Dniestrze, wspinałe tereny i ośrodki narciarskie (m.in. Sławsko, Ławoczne) itd.

Województwo stanisławowskie otwierał herb miasta Stanisławowa „Pilawa”, plan miasta, mapa. Trzon tej ekspozycji stanowiły plansze z ogromnej, podziwu godnej kolekcji p. Stanisława Kwaśniewskiego, zamieszkającego od czasów wojny w Warszawie, a ilustrujące wszelkie aspekty minionej rzeczywistości Stanisławowa poczynając od zabytków, poprzez administrację, szkolnictwa, bujne życie kulturalne, okazałe gmachy publiczne (wspinały dworzec, piękny teatr, banki i wiele innych). W gablotach wystawiono liczne dokumenty życia: maturalne tableaux, pamiątki i dokumenty osobiste, wydawnictwa urzędowe. Nie zapomniano o wielkich synach Ziemi Stanisławowskiej, od Mikołaja Reja (ur. w Żurawnie) poczynając, poprzez Franciszka Karpińskiego, na Kornelu Makuszyńskim kończąc. Było ich wielu.

Osobne plansze poświęcono miastom i miasteczkom województwa, tym pełnym tradycji i uroku miejscowościom, które już dawno weszły do literatury pięknej i wspomnieniowej, do historii naszej kultury. Stryj, Dolina, Kołomyja, Tiumacz, Rohatyn, Bursztyn, Kosów, Kutry, Jezupol i Mariampol — każda nazwa to osobny, barwny świat. Nie zabrakło Kałusza i jego przemysłu, ale i pełnego wyrazu zdjęcia portretowego malarza Jonasza Sterna, kałuszanina, współtwórcy „Grupy Krakowskiej”, po wojnie profesora i rektora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, człowieka, który „przeżył własną śmierć” i którego dramatyczne losy w czasie II wojny znalazły już swe miejsce w literaturze i filmie dokumentalnym.

Istotną częścią ekspozycji stanisławowskiej były materiały dotyczące Karpat Wschodnich i Huculszczyzny. Przepiękne fotografie gór i folkloru wschodniokarpackich górali, wykonane metodą izohelii przez Edwarda Czernego, zdjęcia i widokówki Czarnohory, Gorganów i wschodnich Bieszczad (szczególną uwagę zwracały wydane przez Książnicę-Atlas we Lwowie), a wreszcie gabloty z ceramiką, wyrobami z drewna, tkaninami i ozdobami huculskiego ludu. Nie udało się niestety zdobyć stroju huculskiego, ponieważ równolegle przygotowywano w krakowskim Muzeum Etnograficznym wielką wystawę poświęconą sztuce huculskiej. Mozaikę etniczną rozlicznych miasteczek udokumentowano w osobnych gablotach, poświęconych Ormianom (Pokucie!) i Żydom (zwracał uwagę m.in. autentyczny kapelusz żydowski, wykonany w stanisławowskiej firmie). Ważna była też seria historycznych zdjęć z budowy wspinających wiaduktów

kamiennych nad Prutem, z największym i najpiękniejszym w Jaremczu na czele, niestety nie istniejącym.

Część tarnopolską wystawy rozpoczynał herb miasta „Leliwa” i mapa zabytków tego szczególnie bogatego w pamiątki przeszłości regionu, który przez kilka stuleci stanowił rzeczywiste przedmurze Polski i Europy, tarczę chroniącą przed nieustannymi najazdami Tatarów, Turków i Kozaków. Fakt ten znalazł pełne pokrycie w ekspozycji: ukazano zamki, warownie, fortyfikacje miejskie, kościoły obronne, by wspomnieć tylko Trembowłę, Jazłowiec, Mikulińce, Brzeżany, Złoczów, Brody, Pcmorzany, Zbaraż, Świrz. I tyle jeszcze innych.

Wśród miast wyróżniono oczywiście stolicę województwa, jego zabytki, życie gospodarcze, społeczne, kulturalne, szkolnictwo, sport. Nie pominieć szczególnych zjawisk artystycznych: dzieła mistrza Pinzla, czołowego rzeźbiarza polskiego rokoka, a działającego głównie na Podolu (Buczacz, Monasterzyska). Słynną manufakturę buczańską reprezentowała autentyczna makata (z „metką”). Wybitnych synów Ziemi Tarnopolskiej reprezentował Aleksander Brückner — odkrywca najstarszych pomników piśmiennictwa polskiego, Kazimierz Michałowski — archeolog o światowej sławie, Kornel Ujejski i Kornel Filipowicz, kardynał Rubin i arcybiskup — wygnaniec Baziak, marszałek Rydz-Śmigły. A jakże wielu z braku miejsca pominieć! Żałować należy, że ta dzielna ziemia nie przypominała swych synów czołowych generałów II wojny: Kleeberga, Ducha, Bora-Komorowskiego.

Wyodrębniony zespół materiałów w ramach woj. tarnopolskiego przygotowali złoczowianie, eksponując bujne życie swego miasta, pomniki przeszłości miasta i okolic, przede wszystkim niezwykle historycznie i artystycznie zamki w Olesku i Podhorcach, podkreślając silne związki tej ziemi z rodem Sobieskich i królem Janem III. Ekspozycja złoczowska posłużyła w kilkanaście dni po zamknięciu omawianej wystawy jako tło wielce udanego pierwszego Ogólnopolskiego Zjazdu Złoczowian (Kraków, 1—2 czerwca 1991).

Wypada podkreślić, że duża część materiałów tarnopolskich pochodziła ze zbiorów p. Czesława Blicharskiego, zamieszkającego obecnie w Zabrzu, który kilka dziesiątków lat poświęcił na kolekcjonowanie tarnopolitanów i spisywanie dziejów swego miasta i jego instytucji. Efektownym uzupełnieniem ekspozycji były uroczyste akwarele, warte samodzielnej wystawy, wykonane przez młodą architekturę krakowską (ale w 50% krwi tarnopolskiej, ściślej podwoleczyskiej) Beatę Malinowską-Petelenz.

Wystawę zamykał dramatyczny finał: II wojna światowa, którą uznano za koniec wielowiekowej epoki Rzeczypospolitej zorientowanej na wschód (podobno błędnie, ale pierwsze półwiecze po przesunięciu Polski na zachód nie udowodniło na razie tej tezy). Pokazano więc agresję sowiecką 17 września 1939 r., deportację na wschód, mordy NKWD w więzieniach Lwowa, Złoczowa, Sambora, Dobromila, zbrodnie niemieckie na profesorach lwowskich i inteligencji stanisławowskiej (Czarny Las) oraz zbrodnie nacjonalistów ukraińskich, walkę podziemną ZWZ i AK, udział naszych wschodniomałopolskich żołnierzy w walkach na zachodzie (przede wszystkim generałów Maczka i Sosabowskiego), wreszcie bezprecedensowe w historii Europy wysiedlenie narodu z jego odwiecznych siedzib. Pięknym akcentem tej części wystawy był sztandar AK Obszaru Lwowskiego.

Wystawa cieszyła się dużą frekwencją i zainteresowaniem nie tylko lwowian, tarnopolan i stanisławowian. Przychodziła młodzież szkolna i studenci. Księga pamiątkowa zapełniła się wpisami pełnymi aplauzu, wzruszeń i podziękowań, a to zobowiązuje.

Organizatorzy spotkali się z ogromną życzliwością Dyrekcji i wszystkich niemal pracowników Muzeum Historii Fotografii, a także „Wspólnoty Polskiej” w Krakowie, za co wypada raz jeszcze wyrazić im wdzięczność na tych łamach.

Na zakończenie nie od rzeczy będzie zacytowanie fragmentu listu, jaki redakcja „Semper Fidelis” otrzymała od p. Piotra Marka Stańskiego z Krakowa:

„Dla młodszych pokoleń zwiedzających, często nie związanych rodzinie z tym obszarem, wystawa stała się okazją do poznania tych fragmentów ojczystych dziejów, które przez lata z uporem usiłowano wymazać z powszechnej świadomości, usuwając wszelkie po nich ślady (jak np. podczas remontu wnętrza hal krakowskich Sukiennic [...], kiedy herby miast kresowych zastąpione zostały tymi z Ziemi Zachodnich). O tym, jak potrzebna była tego rodzaju ekspozycja, przekonuje ankieta rozpisana wśród studentów krakowskiej Politechniki, a dotycząca geograficznej lokalizacji ziem południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej. Otóż dość często wymieniano Lwów, ale zdarzało się również, że wspomniano w tym kontekście Kijów [...], Terespol (sic!) — zapewne mylnie kojarzono z podobnie brzmiącym Tarnopolem, który z kolei

określano niekiedy, już z rosyjska jako Tiernopol, a tylko jedna osoba wskazała Stanisławów”. Ale naprawdę wiele jest do zrobienia.

Młodzi harcerze — kandydaci na studia na Politechnice Lwowskiej w roku 1939 — dziś starsi panowie przyjechali 12 maja 1991 r. na Jasną Górę, aby po złożeniu hołdu i przekazaniu pamiątkowej tablicy w sanktuarium Matki Bożej Hetmańskiej oraz po modlitwie za dowódcę Harcerskiej Kompanii Obrony Lwowa hm. por. Zbigniewa Czechańskiego i tych, co odeszli na „wieczną wartę”, spotkać się i przypomnieć swój udział w pamiętnym wrześniu.

Osiemnastu uczestników zostało odznaczonych Krzyżem Obrony Lwowa 1939—44. Uroczystość uświetnił zespół artystyczny Szkoły Podstawowej nr 34 w Częstochowie, „zarażony” sympatią do Lwowa przez panie Jadwigę Różańską i Ewę Kasprzak oraz dyrektora Andrzeja Wagnera. Zespół w ubiegłym roku występował z poezją i piosenką w polskich szkołach i kościołach we Lwowie.

Orlicz

W ŚWIĄTECZNYM NASTROJU

MARIA SAWICKA

Bedzi pińdziesiunt lat a moży i wiency!

I. SPOTKANIE POD RATUSZEM

J ó ż k u: Ta co pan tak długi czyta ty tablicy, jak by pan był alfabetą? Jasnu stoi napisany, ży ty si znajduj Towarzystwu Miłośników Lwowa.

M a ń k u: Czytać to ja umim, tylko oczum ni wierzy, ży ty coś tak cudownego napisany. A pan ty już był?

J ó ż k u: Ta jaki ja pan? Matku Boska! Mańku, ty si na mni kikujisz jak na ty tablicy. Ty mni ni puznajisz, czy co?

M a ń k u: Ta mnie zaraz szlag trafi z radości! Jóźku to naprawdę ty?

J ó ż k u: Jak ni ja? Daj pyska, niech skonam, co za sputkani!

M a ń k u: Jóźku, ja si chiba zaraz ruzplączy, a ty si ludzi kikuju naubkołu. Schuwajmy si du jakiś bramy.

J ó ż k u: Ta po cu du bramy. Chodź, siundniemy sy na ławeczcy i pubalakamy zanim oni tu biuru udemknu. Dupieru za pienc trzy na dwunastu.

M a ń k u: Jóźku, tyli lat, tyli lat! Beńdzi z pińdziesiunt abu i wiency. Dzie twoji pełechi, co miałyś zawsze taki rozczuchrany?

J ó ż k u: A ty co tera taki cienżki bonokli nosisz na kinolu? I jakiś sy bandziuch wychudował, ży si maryniurka ledwu na tobi dupina? Dawnij ty ty był cienki jak patyczek.

M a ń k u: Nu, ty ze mni takiego łacha ni ciongnij, tyż wyglondasz inaczy. Ali jak ten twój pysk utworzysz, wsadzisz renki du kiszeni i zadrzysz głowy — tu tak ci widzy, jak by my byli młody chłopaki! Batiary z nas byli co? Ni raz ja wspomniał sobi jak my du budy chodzili? Pamientasz?

J ó ź k u: A no, masz ci, czy pamnientam. Nu, bałakaj chtórendy my chodzili?

M a ń k u: Najsampirw popud Szkoły Przemysłowy kołu Michotka (dzie rubili ty wafli) i durch przyz debry i stary cygielni na Jacka.

J ó ź k u: Ty Mańku ni miałyś prawa tamtendy si katulać!

M a ń k u: Ta jak ni miałym prawa, co ty Jóźku durnuwaty, ty za mni si katulał, czy co?

J ó ź k u: Ty prendzy jechał balonym dwa przystanki, potym wysiad na Swientyj Zofji, dalij przyz Hauki-Bossaka, popud Urszulanki, schudkami na Tarnuwskiego i już miałyś budy.

M a ń k u: Nu, dobrzy, nich ci beńdzi, bondź blat, ni bendy si z tobu handryczył. Moży zakimpirw pójdziemy du tego biura zapalimy sy cygaru. Palisz Klubowy?

J ó ź k u: Ta paly. A co mam palić innegu?

M a ń k u: Dawnij, przypumniału mi si ty miał aligancku papieruśnicy z tombaku, a w śródku pud taku gumecku — tutki z tytonim.

J ó ź k u: Jo, jo, prawdy bałakasz. Tutki preparowatki „Morwitan” z tureckim sianym.

M a ń k u: Jóźku, a du tego tuwarzystwa, du chtóregu my póndziemy, każdyn moży należyć?

J ó ź k u: Každyn, chtóry urodził si wy Lwowi, ali tagży i z innych parafji, dawnych naszych, jak Stanisławów, Stryj, Husiatyn, abu z pud Kamionki Strumiłowyj. Wszystkie si do nas garnu.

M a ń k u: To pewni zbiraci si tam du kupy i płaczeci rzewni.



Hrabia (Wojciech Dzieduszycki) pod hrabią w rozmowie z Jóźkiem i Mańkiem
fot. L. Sawicki

J ó ź k u: Ty nic ni kapujisz. Ta my si tam schudzimy ni tylku dla jakijś stypy, ali główni po tu, żeby Lwowiaków serca pucieszyć.

M a ń k u: A po cu właściwi Jóźku? Czy wartu tak rany ruzdrapywać?

J ó ź k u: Ta ci tłumaczy, ży ni tylku potu. Ud-wrotni, w tym tuwarzystwi jest całkim fajnu, ty si sam przekonasz.

M a ń k u: Dużu tam si schodzi hebry?

J ó ź k u: Tam zawszy jest pełnu. Facety i baby, tylku wszystkie przeważni starszawy, nu tak jak my. Tak ogóli to każdyn po sześćdziesiontcy mniej-wiency. Ali fajnu si trzymaju.

M a ń k u: A ładny kubity tam przychodzu?

J ó ź k u: I to jaki szac kubity! Ty by nigdy nie zgad ili ona ma lat, tak si fajnu trzymaju.

M a ń k u: Ni ma tam jakij ładnyj wdowy?

J ó ź k u: Mańku, tylku ty przestań na samym puczontku z tyj bańki, bu mi tylku stydu narobisz. Na tu trzeba trochi czasu.

M a ń k u: Tegu czasu tu tak nizawieli...

J ó ź k u: Mańku, a ty si przyglondnuł temu pumnikowi pud chtórym stojimy? Ta to przecież Fredru!

M a ń k u: Ta tyn Fredru tu taki sam jak u nas na końcu Akademickij.

J ó ź k u: Ta ni taki sam a tyn sam! My gu zabrali zy Lwowa, tak samu jak króla Sobieskiego Trzeciego Jana, chtóryn stoi w Gdańsku.

M a ń k u: Jak widać z tego co tu napisany, to un był hrabia. Takich hrabiów już pewni nigdzi ni ma, bu gdzie ty teraz znajdziesz żywego hrabiego?

J ó ź k u: A jezd, jezd! Jedyn żywy lwowski hrabia i to wy Wrocławiu! Nazywa si Dzieduszycki! A wiesz jaki un żywy? Ty by jemu móg zdrowia pozazdrościć. A jaki un klawy, jaki hecowny! I jak jeszcze cienżku pracuji!

M a ń k u: Ta jak un prawdziwy hrabia, tu jak moży być żeby un tak cienżku pracował?

J ó ź k u: Ta jegu praca tu znowu ni taka cienżka. Un wiesz wystenpuji w tyatrach, śpiwa, hecy upuwiada, nu jednym słowem krenci gitary pu lwowsku.

M a ń k u: Ali tyn na pumniku, tu całkim inszy, puważny i smutny. Nie wiesz zadlaczego?

J ó ź k u: A ty by si cieszył jakby ciebi kto z Akademickij ulicy przysadził w obcy miejsy?

M a ń k u: Niech Pan Bóg zabroni!

J ó ź k u: Oho, już po dwunastyj. Hulamy! Bramy to ty już znasz.

M a ń k u: Ta co ty tak prendku knajasz! Na chtórym to pientrzy?

J ó ź k u: Na drugim.

M a ń k u: Jóźku, ja si tak zmachał jakbym wy-laz na Wysoki Zamyk!

J ó ź k u: Nu tu złap dech i wchodzimy. Caje-ronczki pani Jadziuni! Ja przyszyd zasrajbować megu kulegi zy Lwowa du naszego Tuwarzystwa.

M a ń k u: Moji uszanuwani! Czy mogi najsam-pirw siendunć bom si trochi zasapał. Zaraz si ruz-glondny. Co pukazuji ta kulurowa mapa zy sznur-kami?

J ó ź k u: Nu właśni. Na nij masz przydstawiony ili jest w całyj Polscy takich tuwarzystw jak na-szy, kapujisz?

M a ń k u: To w tych wszystkich miastach puz-
birali si lwowiaki i pumagaju sobi?

J ó ź k u: Jo, ali Wrocław najważniejszy. Tu jest
zarząd główny, bo tu właśni puwstału tu tuwa-
rzystwu na cały Polski.

M a ń k u: Ży ja o tym ni słyszał! Ta taki tuwa-
rzystwu to wielgi szczeńści w nieszczęńściu! Tu
sercy ud tegu rośni!

J ó ź k u: Pewni. Ty ni masz pujencia jaki tu
ważny. Tu si ruchodzi o zachuwani kultury
lwowskiej, lwowskiej mowy, lwowskich ksionżyk,
budowli histurycznych, wszystkich ogóli pamion-
tyk. Moży nawyt pujdziemy du Lwowa? Czy ty
już tam był udupniekund my wyjechali?

M a ń k u: Ta dzie. Nie był i ni mogli nawyt o
tym myńlić. Sercy by mi chiba peńklu...

J ó ź k u: W tym wzglendzi tu moży ja by si
z tobu zgodził. Ali ludzi jeżdzu i mówiu, ży da
rady to wytrzymać. Zatymczasym pokłujmy so-
bi na przydwujenny plan Lwowa co tu wisi. Sta-
jisz przed nim i jakbys był z puwrotym w domu,
w tamtym świeci...

M a ń k u: Oj, widzy, widzy. Tu moja ulica a tu
twoja. O, a tendy ty chodził do budy, ja ci mówił.

J ó ź k u: Tylku ty znou ni zaczynaj!

M a ń k u: Ni kłóćmy si przy pani, bu nie wy-
pada. Czy my si trochi nie zasidzieli?

J ó ź k u: Nu pewni. Chodź, puczytamy sobi na
doli, na tablicy, kiedy beńdzi jakiś sputkani z
lwowiakami? A był ty już na Panurami Racła-
wickij?

M a ń k u: Wy Lwowi? Ta pewni, zy sto razy!

J ó ź k u: Ot, durnuwały pumidur! Ali tu, wy
Wrocławiu, gdzie ona stoi teraz pienkna, udu-
wiona, śliczna jak nigdy! Ty si nawyt nikomu ni
przyznawaj du tegu, ży ty jij jeszcze ni widział.

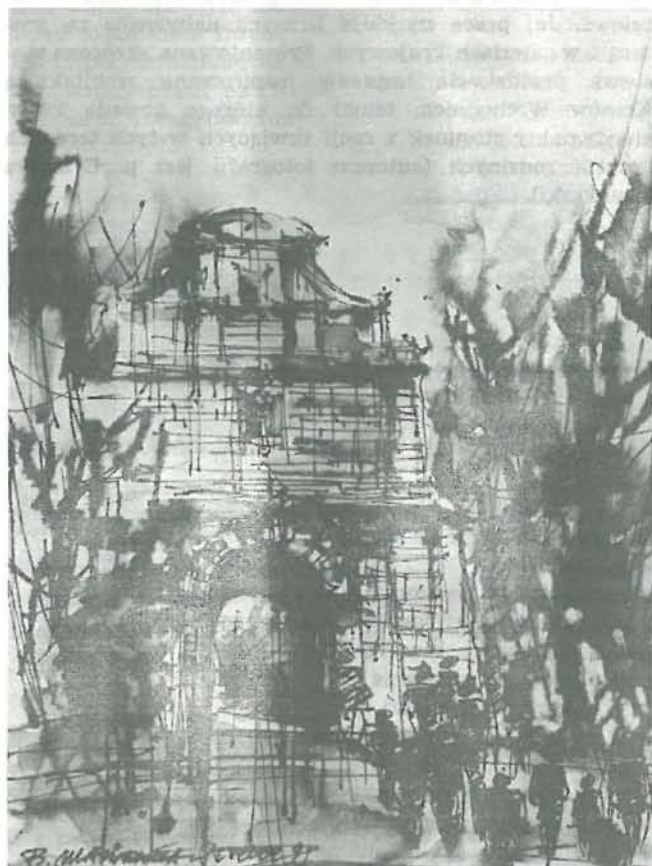
M a ń k u: Co za szczeńści Józku, ży ja ciebi spot-
kał. To kiedy idziemy na ty Panuramy?

J ó ź k u: O, to nie tak łatwu. Tam walu strasne
tłumy. Ja jeszcze skikny du pani Jadzi na góry,
moży ma jaki dwa zaszparowany bilety dla spy-
cjalnych gości.

M a ń k u: To ja jezdy taki spycjalny gość?

J ó ź k u: Ta chto inny, ty moja mordu kuchana!
Adrys twój mam, szybku du ciebi przyknajam. Daj
pyska! Szpanuj graby!

M a ń k u: Pa Józku! Daj ci Boży zdrowi! Zani-
długu si sputkamy!



Zbaraż — Brama wjazdowa do zamku



Mikulińce — Ambona w kościele (XVIII w.)



Tarnopol — wejście do kościoła Dominikanów



Olesko — Zamek, miejsce urodzenia Jana III Sobieskiego

Beata Malinowska-Petelenz, ur. w 1962 r. Studia na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej w latach 1980—86, przerwane urlopem wychowawczym, zakończyła dyplomem nagrodzonym przez prezydenta miasta Krakowa w 1987 r. W 1989 r. podjęła pracę jako architekt w zakładzie promotora dyplomu prof. W. Cęckiewicza w Instytucie Projektowania Urbanistycznego Wydziału Architektury PK, gdzie pracuje do chwili obecnej.

Od kilkunastu lat rysuje, doskonaląc szczególnie technikę szkicu i rysunku architektonicznego oraz malarstwo akwarelowe. Jej prace znajdują licznych nabywców za granicą i w galeriach krajowych. Prezentowana skrócona wystawa przedstawia impresje inspirowane architekturą Kresów Wschodnich, temat do którego posiada żywy, emocjonalny stosunek z racji tkwiących w tych terenach korzeni rodziny (autorem fotografii jest p. Grzegorz Boniowski).

Iwa Młodnicka

JA PAMIĘTAM...

Ja pamiętam. Ja pamiętam
daję słowo
Stryjski park pachnący słońcem
i muzyką,
W domu dziadków galeryjkę ażurową
i ten dom na Senatorskiej lśniący miką.
Ja pamiętam
choć tak niewiele tego

ileż mogłam lat mieć wtedy?
trzy, nie więcej,
a pamiętam te powroty ze Stryjskiego
i jak biegnę w wyciągnięte mamy ręce.
Mroczną kuchnię, krzywą blachę
pod oknami, w gabinecie
kryty skórą fotel wielki,
targ z trębulką, wielkie kosze
z gogodzami, a na obiad
nie mielone — a sznycelki.
Więc pamiętam, tą pamięcią słodko-rzewną
już nie spytam, już mi mama nie opowie,
pędzą lata — nie mijają, ani biegną,
Ja pamiętam. Senatorska gdzieś we Lwowie.

Maryla Wolska

ZADUSZKI

Co roku, między groby nieciekawe, bo obce
Dróżką tą samą, w Zaduszki
Szłam z Tatkiem i Mamą,
Malutka, z wiankami,
Za nami obie staruszki.

Widzę ich wszystkich jak dzisiaj!
Ciocia, przygarbiona ku ziemi,
Kłębuszek w sutym futerku lisim
I Babcia, z wargami jakby pacierzem drżącymi
Bez przerwy,
Prosta, w czarnej aksamitnej salopce.

Do Grottgera szło się zawsze najpierwej.

Wiedziała, że Mama
Nim ucałuje kamień,
Nim na grobie rozłoży wieńce,
Wpierw zawsze zdejmie rękawice,
Z płyty i obramień
Dłońmi liść suchy odgarnie,
Wyjmie zapalnik i świecę
I sama zapali latarnię.
Tak dobrze pamiętam jej ręce,
Ręce z Lituanii i Wojny!

A potem dalej drogą,
W górę, wśród ciżby rojnej,
Ścieżką, co w prawo skręca,
Do prababki i pradziadka Wentza.

Znałam ich tylko jak z cieni,
Dwa czarne w ramkach profile,
Gdy blisko nie było nikogo,
Znad łóżka cioci Tereni,
Do ciepłej dziecinnej dłoni
Pospiesznie brane na chwilę,
Z sercem trwogą płoszonym...

Wiedziała, że czarny ten pan
Bił się z Napoleonem
I długo umierał z ran...

A potem — już tylko oni,
Ci, co pomarli maleńcy,
Braciszek Bolcio i siostrzyczka Joczka,
Co mieli duże niebieskie oczka
I jasne włoski...

Zresztą nikogo więcej...
A prawda! Jeszcze ten, w pobliżu
Wąski grobek z paletą na krzyżu
Z napisem: Marcel Maszkowski.

Tatka przyjaciel, kolega,
Mieszkali razem w Monachium;
Rysował — jak nikt.
Sławnie tańczył mazura,
Wszyscy go lubili pasjami —
Brakło mu zawsze na czynsz i na wikt,
Ale humor miał złoty —
(Teką z jego szkicami
To ta wąska, bura!)

Umarł dawno, młodo, na suchoty.

.....
Co roku w Zaduszki,
Idę tą samą drogą,
Lecz nie ma już ze mną nikogo
Na szlaku stromej dróżki
Nim kiedyś także tu spoczne,
Zapalam światła coroczne.
Sama.

Śpią wszyscy... Ojciec i Mama,
Śpią obie dobre staruszki —
I tyś tu spoczął — i ty!
Wy wszyscy moi,
Których mi pamięć jasna
Jak płomyk na oczach stoi,
Jak płomyk bez przerwy
Drży —

Do Grottgera idę zawsze najpierw.

Jerzy Masior

TA STRONA ŚWIATA

Tarnopol miał odbicia od chmur i od fary,
pannę młodą po sadach,
w gruszech narzeczone,
a czerechy na świecie miał tylko Kleparów.
Zółkiew — kamienny alfabet.
Berdyczów był dla rymów,
do powrotów Chodorów,
z Kopca Zamarstynów.

W Bortnikach sen na stacji, przez Dniestr do Czerniowiec,
a z peronu Podzamcza najświętszych chasydów
gnało z całego świata, ale wciąż do Brodów,
i może do Podwołoczysk, może do Złoczowa?

W Żabiem i Krzyworówni był targ na kolory,
a w Buczaczu starosta,
zdyszany szum Czeremoszu
i wciąż do tej pory w Haliczu i Jazłowcu
stygnały te świętości
a Madonnie z dna rzeki błękity przynoszą,
i ułańskie po szarży tam bieleją kości.

Stryj szumiał szumem Karpat, rozpędem Oporu.
W Skolem śnieg po Trzech Królach,
W Worochcie marcowy
— tam i tu te najszybsze,
te nasze hikory.
W Kołomyi młyn i fara — mgły do Czarnohory.

Przez rzekę, ogrodami
i nie wracać więcej,
i być tam rybą Prutu
i być tam już wiecznie.
I być tam, na Podolu, wariacko, nedorzeczenie,
i być tam, na Pokuciu przez groblę, nad Zbruczem.
Boże, czy ja się tego świata
nigdy nie oduczę?

Nowy Sącz 13 IV 1991

Z życia oddziałów i klubów TML

Działalność Oddziału Kołomyja „Pokucie” przy TML we Wrocławiu na rzecz rodzinnego miasta

Oddział powstał we Wrocławiu 26 XI 1990 r. W jego skład wchodzi koła terenowe w Oleśnicy, Oławie, Kluczborku i we Wrocławiu. Przewodniczącym został p. Mieczysław Rutowicz, wiceprzewodniczącą p. Jadwiga Tarkowska, sekretarzem autorka artykułu. Mimo krótkiego żywotu Oddział jest bardzo aktywny, zwłaszcza na polu pomocy dla kościoła i parafii rzymskokatolickiej w Kołomyi. Pierwsza pielgrzymka z darami (oprócz sprzętu liturgicznego m.in. aparatura nagłaśniająca z mikrofonami) zorganizowana przez Klub w Oławie przybyła 2 XI 1990 r. na uroczystości związane z rekonskracją kościoła pojezuickiego w Kołomyi.

Druga pielgrzymka, wioząca również dary dla kościoła, w tym organy elektryczne, przebywała w Kołomyi w dniach 28 IV—3 V br. Kołomyjanie są bardzo ofiarni i składają znaczne kwoty na ten cel (np. panie Ostrowskie z Krakowa). Trzecia pielgrzymka-wycieczka kołomyjan z Wrocławia i Oławy do rodzinnego miasta miała miejsce w dniach 21 VI—28 VI br., czyli już w trzy tygodnie po drugiej.

Grupa wrocławska, licząca 40 osób, wyjechała 21 VI w godzinach popołudniowych autokarem Opolskiego Biura Podróży „Timing”. Do Kołomyi przyjechaliśmy 22 VI o godz. 13 czasu miejscowego i zostaliśmy zakwaterowani w hotelu „Prikarpatie”.

O godz. 18 udaliśmy się do kościoła, gdzie czekali na nas od południa miejscowi Polacy. Powitanie przed kościołem było wzruszające, następnie z drżeniem serca wchodziliśmy do środka, ciekawi, w jakim stanie zobaczymy stare mury, w których modliliśmy się, będąc dziećmi. Kościół, owszem, zniszczony (był w nim magazyn meblowy), ale ogrom pracy, jaki został włożony przez tamtejszą społeczność przy uporządkowaniu obiektu, przyćmił przykre wrażenie. Następnie przeszliśmy do kościoła, gdzie uroczystości powitalne i modlitewne poprowadził przewodniczący naszego klubu p. Mieczysław Rutowicz. Towarzyszył mu miejscowy kościelny p. Lewicki. Potem zostaliśmy zaproszeni do pobliskiej świetlicy szkolnej na powitalną kolację.

Otrzymaliśmy wiadomość, że grupa oławska nie została zakwaterowana w Kołomyi, lecz w Słobodzie Run-gurskiej. P. Rutowicz, niżej podpisana oraz miejscowi Polacy — Alicja Hurmak i Bolesław Śliwiński — pojechali późnym wieczorem na miejsce zakwaterowania oławian, by zorientować się w zaistniałej sytuacji i ewentualnie udzielić im pomocy, gdyby jej potrzebowali.

W słoneczne przedpołudnie 23 VI udali się kołomyjanie w swoje dawne strony. Jedni poszli szukać śladów przodków na cmentarzu, drudzy domów rodzinnych, szkoły, znanych i trochę zapomnianych ulic. W godzinach popołudniowych wszyscy spotkali się w kościele pojezuickim na uroczystej Mszy św., którą odprawił ks. Halimurka. Grupa oławska wręczyła dary dla kościoła, m.in. baldachim, o którym marzyli miejscowi kołomyjanie. Po Mszy św. złożono na ręce ks. Halimurki tablicę pamiątkową, ufundowaną przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, o następującej treści:

Mieszkańcom Kołomyi i Pokucia
poległym na polach bitew obu wojen światowych,
zaginionym i pomordowanym w latach 1939—1945,
tylko dlatego, że czuli się POLAKAMI
oraz pogrzebanym w przeszłości na cmentarzach

Ziemi Pokuckiej

Kołomyjanie
z Kraju i ze świata 1990

Tablica ma być wmurowana w ściany kościoła. Następnie ks. Halimurka i p. Jadwiga Tarkowska zaapelowali do Polaków zarówno miejscowych, jak i do nas, by w poniedziałek rano pójść uporządkować cmentarz kołomyjski. Po uroczystościach kościelnych zostaliśmy zaproszeni do znanej nam już świetlicy szkolnej na przyjęcie, które upłynęło w bardzo serdecznej atmosferze.

Dnia 24 VI prawie wszyscy udali się na cmentarz. Główne wejście cmentarza jest zamknięte z powodu jakiejś budowy. Ogólny widok jest raczej smutny — wszystko tonie w chwastach, niektóre grobowce są porozbijane, otwarte, zdewastowane, znaleźliśmy jednak kilka w zupełnie dobrym stanie. Po stronie lewej od głównego wejścia zachował się w dobrym stanie grobowiec SZYMECZKI — powstańca z 1863 r. Dotarliśmy również do krzyża upamiętniającego martyrologię więźniów kosa-czowskich w latach 1918—19. Ci, którzy nie znaleźli gro-



Kościół Marii Magdaleny we Lwowie w 1939 r. (obecnie sala koncertowa)

bów swoich bliskich, zapalili na tym miejscu świeczki w intencji wszystkich kołomyjan spoczywających na tej ziemi.

Po południe niektórzy spędzili nad Prutem, który swoją „dziewiczość” wraz z łęgami zachował jedynie w okolicy Skupniewicza. Idąc w dół ul. Staromiejską mija się dawny park im. Skupniewicza, nazywany również parkiem studenckim, i dochodzi się do miejsca, w którym koryto Prutu jest suche i zakryte wysokim wałem. Tuż obok powstał wielki zalew stanowiący ośrodek rekreacyjny.

Inni poszli w kierunku Wincentówki szukać swoich domów i sąsiadów, byli tacy, którzy pojechali do wsi Św. Józef szukać zakopanych przez siebie przed wysiedleniem do Polski dzwonów kościelnych. Byli też tacy, którzy wynajętą taksówką objeżdżali pobliskie tereny, okoliczne wioski, by szukać śladów swojej przeszłości.

25 VI członkowie Zarządu Klubu Kołomyjan odwiedzili Muzeum Historyczne Miasta Kołomyi, mieszczące się obecnie w Ratuszu, by przeprowadzić wstępne rozmowy dotyczące ewentualnej współpracy między Muzeum a naszym Klubem.

Ustalono z kierownictwem Muzeum, że miejscowi Polacy wystąpią z wnioskiem do władz miejskich o przekazanie dobudówki przy kościele pojezuickim, w której obecnie mieści się pawilon meblowy, Muzeum Historycznemu. Muzeum zobowiązuje się zorganizować tam Ośrodek Kultury Polskiej. Miejscowych Polaków nie stać po prostu na wyremontowanie tego obiektu, jak również na utrzymanie go w przyszłości. Muzeum Historyczne zaś, mając środki na te cele, chętnie pomoże Polakom; my ze swej strony również zobowiązaliśmy się pomóc finansowo i dostarczyć książki do przyszłej polskiej biblioteki.

Zostaliśmy oprowadzeni po Muzeum, udostępniono nam archiwalne materiały dotyczące historii miasta. Mimo remontu wprowadzono nas również na sam szczyt Ratusza, skąd oglądaliśmy panoramę miasta, robiliśmy zdjęcia. Widok był niezapomniany, a głęboko w pamięci za-

kodowany był dźwięk sygnaturki ratuszowej, która zawsze w maju grała „Witaj majowa Jutrzenko”.

Czas mknął nieubłaganie szybko, a trzeba jeszcze odwiedzić wiele ciekawych i bliskich sercu miejsc — targ kołomyjski, jak zwykle barwny i ruchliwy, Rynek na którym już nie ma pomnika Marszałka Piłsudskiego. Puste miejsce smutne — kto na nim stanie następny? Za to imponujący jest kołomyjski dworzec kolejowy, w miarę zadbane park miejski, w którym zachował się pomnik Mickiewicza, pięknie zagospodarowany staw (w miejscu stawu Rosenraucha). Tuż obok wybudowano nową dzielnicę „wieżowców”. Autobusem miejskim wracamy do centrum miasta, by spojrzeć jeszcze z rozzerwaniem na planty, obok których biegnie tory „lokalki”, zdążającej do Peczeniżyna, ktoś z wycieczki wskazuje na dom, w którym rodzina jego prowadziła sklep, i już stajemy osłupieni i pełni gorczy przed barbarzyńsko zniszczonym kościołem rzymskokatolickim, naszym kochanym kościołem parafialnym, któremu odcięto wieże i zamieniono go na obiekt handlowy.

Tuż obok widzimy budynek państwowego gimnazjum, który nie stracił swojej urody i takim pozostał w naszej pamięci. Wracamy do hotelu, ale jeszcze po drodze wступujemy do cerkwi greckokatolickiej — zmieniała trochę szatę zewnętrzną, ale wewnątrz jest nadal urokliwą świątynią z pięknymi freskami i ikonami.

26 VI wyjeżdżamy autokarem do Worochty i Jaremcza. Pełni wrażeń i zmęczeni wróciliśmy do Kołomyi. W godzinach wieczornych odbyło się nabożeństwo w kościele pojezuickim, po którym pożegnaliśmy gościnnych miejscowych Polaków. Następnie w hotelu spotkaliśmy się jeszcze z polskimi działaczami — p. Alicją Hurmak i jej bratem Bolesławem Śliwińskim i na ich ręce przekazaliśmy dar pieniężny od grupy wrocławskiej (905 tys. zł, 23 dolary i 75 rubli) z prośbą o przeznaczenie tej kwoty na potrzeby kościoła, szczególnie na remont.

27 VI rano, żegnani z łezką w oku przez miejscowych Polaków, odjechaliśmy z rodzinnego miasta. W godzinach popołudniowych dotarliśmy do Lwowa. Zwiedziliśmy tam cmentarz Łyczakowski, cmentarz Orląt, operę lwowską, rynek staromiejski. Wieczorem odjazd do granicy.

Danuta Krupska

POSZUKIWANIA

Białogard, dn. 5.05.1991 r.

Szanowna Redakcjo!

Zwracam się z prośbą o pomoc w odnalezieniu osób mogących udzielić informacji o losie LEONARDA CZAPIEWSKIEGO, syna Franciszka, ur. 29 X 1899 r. w Czarnowie, który od 1922 r. był funkcjonariuszem straży granicznej na granicy polsko-rumuńskiej.

W styczniu 1940 r. został aresztowany w Śniatyniu i przewieziony do Załucza, od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął. Dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu.

Może za pośrednictwem Waszego pisma uda się uzyskać informacje o losie mego Ojca.

Zbigniew Czapiewski
ul. Nowowiejska 40/14
78-200 Białogard

FUNDACJA KRESOWA „SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu. Celem Fundacji jest:

- *ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *wszechstronna pomoc społeczności zamieszkującej Kresy,*
- *szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.*

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- *gromadzenie i efektywne wykorzystanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,*
- *działalność wydawniczą — kontynuowanie wydawania pisma Lwowian i Kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową,*
- *organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci rodzin polskich w Ojczyźnie, pobytów leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,*
- *fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,*
- *wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,*
- *współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszącej się do tego regionu.*

Fundacja przygotowana jest przy dodatkowym wsparciu finansowym do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy, nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi z podstawy opodatkowania zysku odlicza się kwotę dotacji przekazanych na działalność Fundacji.

**Nasze konto: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wrocław, Rynek Ratusz 7/9
PKO IV/O Wrocław 93549-99192-132. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.**

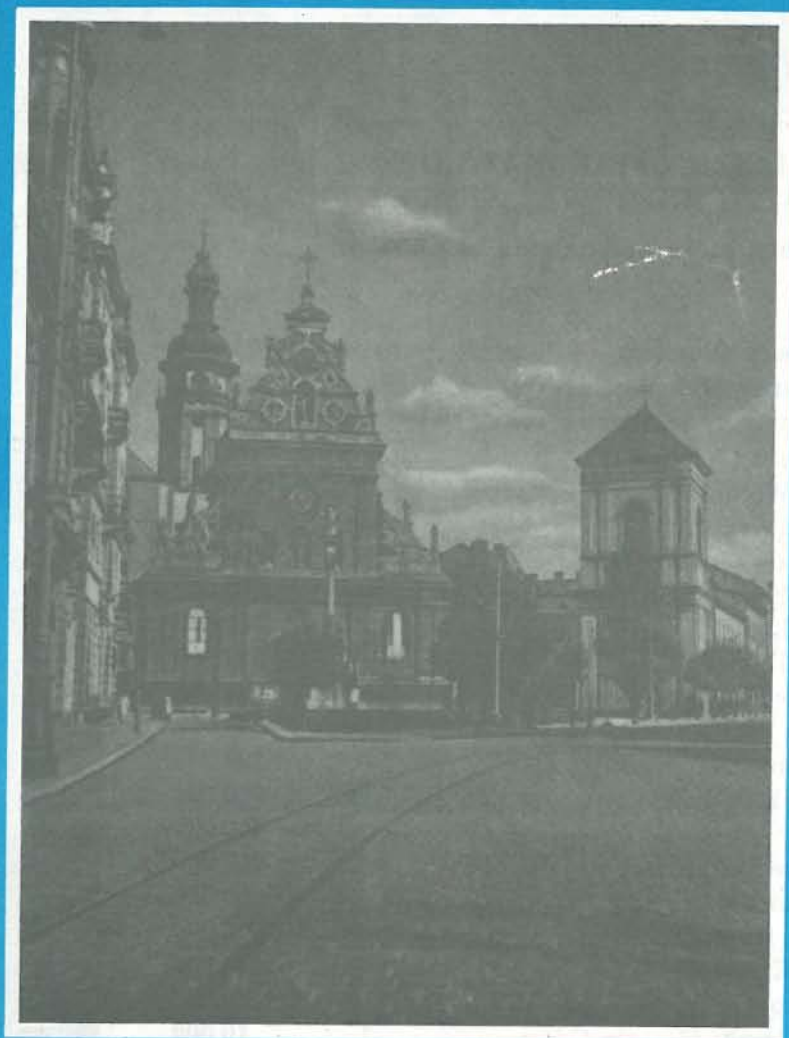
LISTA OFIARODAWCÓW NA FUNDACJĘ KRESOWĄ „SEMPER FIDELIS”

(obejmuje wpłaty, które wpłynęły do 20 X 1991 r.)

1. G.A. Konopscy (Poznań)	200 000
2. Cz.W. Mokane (Jelenia Góra)	200 000
3. J.K. Chrzastowski (Katowice)	100 000
4. Zb. Lechowski (Wschowa)	20 000
5. J. Pichler (Wrocław)	100 000
6. E. Sicińska (Wrocław)	20 000
7. D.B. Krupskie (Jelenia Góra)	100 000
8. D. Książek-Kozłowska (Gliwice)	30 000
9. J. Dynus (Gdańsk)	150 000
10. Wł. Bohr (Gliwice)	50 000
11. TML Stalowa Wola	142 700
12. TML Sanok	200 000
13. Zofia Nestorowska (Nisko)	100 000
14. Józefa Kozak (Gliwice)	300 000
15. TML Łódź	200 000
16. W.M. Zubkowie (Kielce)	50 000
17. TML Poznań	1 000 000
18. J. Garbacik (Poznań)	20 000
19. J. Bieńko (Kurzyňa)	990 000
20. TML Kluczbork	160 000
21. A. Kryształowski (Jelenia Góra)	10 000
22. W. Spólnik (Jasło)	100 000
23. Z. Szczerba (Jelenia Góra)	10 000
1. Stanisław Gorczyński (Chicago)	100 dol.
2. S.P.K. (Detroit)	150 dol.
3. A.J. Michałowski (Los Angeles)	50 dol.
4. Maria Komornicka (Chicago)	50 dol.

Serdecznie dziękujemy za wpłaty — „Bóg zapłać”

U w a g a: Przepraszamy pana Tadeusza Świątnickiego z Przemyśla za błędnie podaną w poprzednim numerze „Semper Fidelis” kwotę wpłaty; 100 000 zł chochlik drukarski zredukował do 10 000 zł. Zakradły się również błędy w nazwiskach. Winno być: pani Czesława Baraniecka z Nowego Jorku, a nie Bereźnicka. Prostujemy również nazwę instytucji; poprzednio wpłaciła Spółdzielnia „Spółmot”, a nie „Polmot”. Przepraszamy za pomyłki.



W NUMERZE:

Zbysław Popławski, Represje okupantów na Politechnice Lwowskiej (1939—1945)

Leszek Wierzejski, Krwawa karta z najnowszych dziejów Stanisławowa

Edward Prus, Iwan Franko — przyjaciel czy wróg Polaków?

Danuta Nespiak, Wieści z krainy między Dniestrem, Prutem a Czeremoszem

Stanisław Rakowski, Kresowe szlaki. Czortków

Maria Sawicka, Bedzi pińdziesiunt lat a moży i wiency